

Nr 2 (89)

CZASOPISMO LITERACKIE

2022



ISSN 1732-1069



# PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA  
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





**CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 2 (89) 2022**

ISSN 1732-1069

**Wydawcy:**

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

**Redaktor naczelna:** Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

**Zastępczyni redaktor naczelnej:** Beata Igielska

**Sekretarz redakcji:** Danuta Zielińska

95 727 70 70 / d.zielinska@wimbp.gorzow.pl

**Skład:** Sebastian Wróblewski

**Korekta:** Magdalena Turska, Danuta Zielińska

**Druk:** Sitodruk, poligrafia, reklama. Jan Kłosiński

ul. Kostrzyńska 28

66-400 Gorzów Wielkopolski

**W numerze i na okładce prezentujemy twórczość malarza**

**Grzegorza L. Piotrowskiego.**

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

[www.wimbp.gorzow.pl](http://www.wimbp.gorzow.pl)

**Zasady współpracy z „PL”**

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

To niebywałe. Wystarczą 32 litery, osiem dźwięków, trzy podstawowe kolory, by stworzyć niezliczoną ilość dzieł (lub gniotów). Używając wciąż tych samych środków wyrazu, tworzyć NOWE.

Ale.

Do którego momentu wystarczy ludzkości wyobraźni i kreatywności, by wciąż od nowa zestawiać je, konstruować, układać, mieszać? A może już nastąpił kres nowych możliwości? Może sztampowe *wszystko już było* zamyka nam furtkę do tworzenia?

A może?

Wszystko już było otwiera drogę do twórczego dialogu, czerpania, przetwarzania, kontynuacji, albo odwrotnie – do burzenia zastanego porządku i stwarzania go od nowa?

Za PWN, „inspiracja to natchnienie, zapal twórczy; ale też wpływ wywierany na kogoś, sugestia”.

Jak pisze Władysław Stróżewski w eseju „O inspiracji”: [...] *słowo inspiracja zawiera rdzeń wywodzący się od łacińskiego spiritus, oznaczającego ducha, tchnienie, a także powiew i wiatr. Inspiratio, w czysto filologicznym przekładzie, to tyle co wdychanie, oddech, tchnienie czegoś w coś, wprowadzenie ducha lub tego, co duchowe, w to, co duchowe w swej istocie nie jest, a dalej: ożywienie nieożywionego (jeśli tylko zgodzimy się za Platonem na ścisły związek ducha i życia) i – wreszcie – pobudzenie do działania czegoś, co właśnie pozostaje w stanie oczekiwania lub bierności, martwoty czy uśpienia. Inspiratio oznaczać może także natchnienie i oświecenie. A czasownik *inspiro, inspirare* znaczą m.in.: dąć, dmuchać, rozdmuchać, tchnąć, natchnąć.* (Wydawnictwo MCK, 1993)

Więc.

Skoro Duch wieje, kędy chce, może on krążyć pomiędzy światami, umysłami, ideami, myślami i tematami. Multiplikuje się w nieskończonych wersjach siebie, wciąż jednak na nowo, inaczej, osobno. Unikatowo. Dając bodziec kolejnym niech się stanie...

Czyli.

Unikatowe, w pełni autorskie, choć pełnymi garściami (i dobrze!) czerpiące z nieskończonych zasobów kultury, są treści zamieszczone w tym numerze „Pegaza Lubuskiego”.

To nie tylko znakomite eseje, małe prozy i poezja. Nie tylko rozmowy czy felietony. Ale też sztuka. Od tego numeru zagości tu na stałe.

Niech!

32 litery, osiem dźwięków, trzy podstawowe kolory. Tylko i aż.

**Agnieszka Moskaluk**  
Redaktorka naczelna

## ZAUWAŻENIA

Z. Marek Piechocki

**15 stycznia 2022**

Teraz w wakepark cisza  
Srebrzą się łuski jeziora

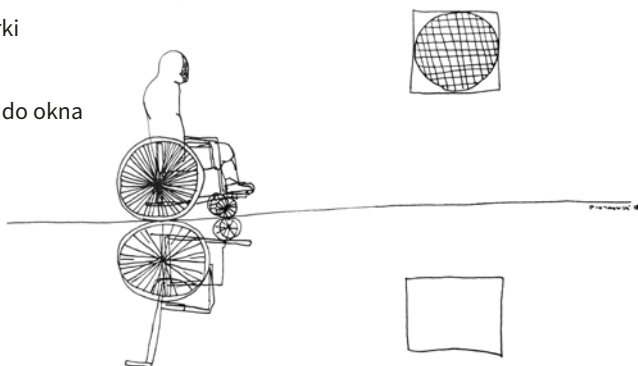
Za nim drzewa domy wieża kościoła  
Krzyż rozdziela styczniowe chmury

### Gęsi nad osiedlem Piaski

Księżyc w pełni  
Głośne rozmowy w kluczu ptaków  
Słuchałem ich ja mój pies  
I cisza betonowego osiedla

### W samo południe

Ścieżka na skarpie  
W dole polodowcowe jezioro  
  
Ponad dwa kilometry spaceru  
Po jego wschodniej stronie  
Drzewa krzewy wiewiórka ptaki  
  
Na zachodniej wieś szosa  
  
Stłumiony listowiem hałas  
  
Wyławiam dźwięk sygnaturki  
Głosi anioł pański  
  
W Rzymie papież wychodzi do okna



## Las

Jeszcze jest

„Leśna gospodarka”

Pobojowiska nowych polan

Harvester

Chrzęst jadącej maszyny

Szczyki chwytają pień

Wysuwa się piła

Odcina drzewo od korzeni

Maszyna obraca je z pionu w poziom

Tnie na kilkumetrowe odcinki

I układa na ciężarówce

Na ściółce zostaje korona

Do niej przystępują pilarze

## Miasto

Jego centrum

Tumult zabieganie

Sunące kawalkady samochodów

Harmider regulowany

Czerwone pomarańczowe zielone

Obtęd pośpiechu klaksony

A obok ze średniowiecznej cegły

Pęten spokoju monolit katedry



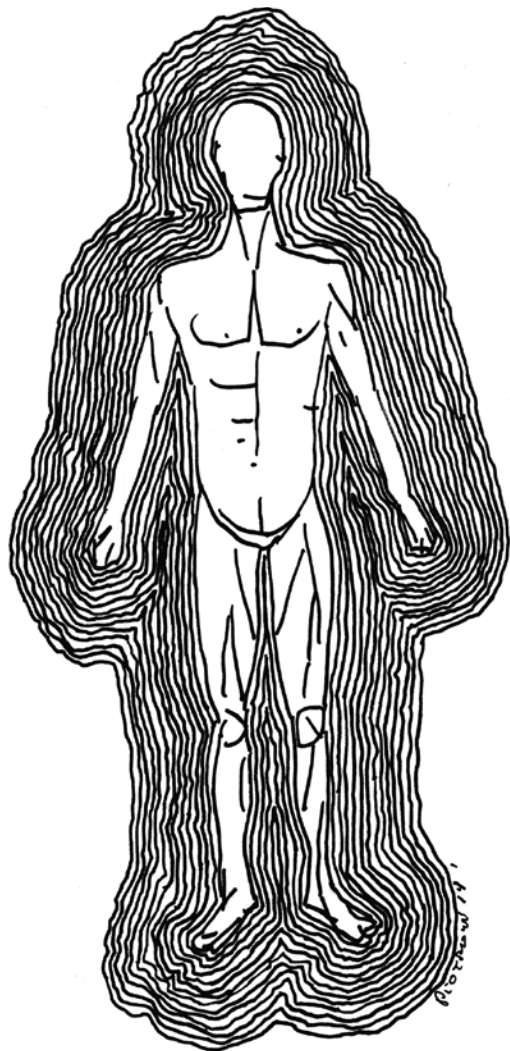
## WSZYSTKO JUŻ BYŁO?

Łucja Fice

Mam czas na rozmyślanie w ten spokojny, cichy wieczór. Nie jestem jedyną osobą, którą interesuje fenomen naszej świadomości i rozwoju ludzkiej inteligencji, a tym samym podobne myślenie i kojarzenie. Otóż zdarzyło mi się pomyśleć, wypowiedzieć czy nawet napisać zdania, które już dawno były wymyślone, powiedziane i zapisane. Już dawno temu zapisałam, że „wszystko już zostało powiedziane i napisane, ale to, co napisałam teraz, to zupełnie co innego”. Jakże byłam zdziwiona, kiedy przeczytałam (czy to był przypadek, czy odpowiedź Tego, co wie wszystko?) cytat Ernesta Blocha: „Możliwe, że wszystko co mądre, było już pomyślane siedem razy, ale kiedy zostało pomyślane znowu w innym czasie i w innej sytuacji, nie było już tym samym”. To wygląda jak efekt setnej małpy. Na czym on polega? Kiedy grupa małp poznawała jakieś nowe zachowanie, to małpy na innym terytorium, nie mając ze sobą absolutnie kontaktu, zaczynały wykazywać to samo zachowanie. Również zapamiętałam, jak moja koleżanka poetka czytała wiersz, który prawie całkowicie przypominał wiersz jej koleżanki po piórze (było to kiedyś na warsztatach). Poza tym mój umysł zarejestrował wiele tego typu przypadków. Podjęłam więc próbę wytłumaczenia tego zjawiska. Od dziecka wiedziałam, iż natura jest inteligentna i wszystkie rośliny, drzewa komunikują się ze sobą (w dzieciństwie, w snach, rozmawiałam z kwiatami, drzewami). Zdziwiona też jestem faktem, że wszystko w przyrodzie zbudowane jest fraktalnie. I oto doczekałam się naukowego, wnikliwego opracowania badań na ten temat. Czytałam też kiedyś na temat doświadczenia (eksperymentu), w którym wykazano istnienie nielokalnych połączeń pomiędzy odległymi cząsteczkami należącymi do tego samego systemu. Udowodniono ponad wszelką wątpliwość istnienie komunikacji całości bez względu na odległości w przestrzeni jej elementów. Więc wszystko odbywać się musi w jakimś wiedzącym polu, sieci informacyjnej, gdzie dowolny wniosek, przemyślenie, wymyślenie czegoś nowego, może być odczytane przez zupełnie innych ludzi podobnymi słowami czy metodami np. na innym kontynencie. To takie WSZYSTKO, CO WIE O WSZYSTKIM (czy już ktoś tak się w przeszłości wyraził?). Podobnie dzieje się w nauce. Ponieważ interesuje mnie również teoria wieloświatów. Jeden z uczonych, Hugh Everett, opublikował swoją teorię na ten temat, która nie została zaakceptowana, właściwie zignorowana przez środowisko naukowe. Problem był taki, że nie było sposobu, by teorię potwierdzić. Po upływie 10 lat Rosjanin Andrei Linde samodzielnie doszedł do podobnej koncepcji wielkiej inflacji i wtedy idea wieloświatów zyskała wsparcie ze strony dwóch obszarów fizyki, czyli teorii strun, która wyjaśnia funkcjonowanie świata w najmniejszej skali. Nie jestem naukowcem i przerobiłam wiadomości

naukowe na swój własny język, własne zrozumienie. Więc w myśleniu naukowym dzieją się te same rzeczy. Może jest to ślad naszej interakcji z innymi umysłami? Może chodzi o synchronizację tego wszechwiedzącego pola z polem jednostki? Może nasza rzeczywistość to wielki system, którego działanie musi się opierać na pewnych prawach? Może działanie tego systemu jest idealne? Nie tylko naukowcy, ale ja, „mała mrówka”, i wielu mi podobnych bardzo chciałoby poznać te prawa. Wiem, że któregoś dnia wpadnie mi do rąk, jakby automatycznie, artykuł naukowców na ten temat, bo tak to działa w moim przypadku. Może mam większą zdolność wysyłania swoich myśli w to centralne pole aniżeli inni? Może stąd tyle dziwnych, irracjonalnych rzeczy dzieje się w moim życiu? Czasem nazywamy to intuicją, telepatią czy jeszcze inaczej. Z innej strony dlaczego dzieci wychowywane przez niebiologicznych rodziców, nie wiedząc o tym, mają dziwne sny czy przebliski intuicji, z których później w długim procesie szukają prawdy i o dziwo dochodzą (ci zdesperowani). To mnie ciekawi. Czy czasami nasza świadomość to nie gigantyczny komputer, w który zostały wpisane programy na różnych poziomach? Dziwi mnie, dlaczego WSZYSTKO WIE O WSZYSTKIM. Może nasza planeta ma swój program, a inne planety pracują na innym, zupełnie jak nasze komputery? To tłumaczyłoby, dlaczego nie możemy się porozumieć albo już dawno kontakt nawiązany, tylko trzymany w tajemnicy (musiałby upaść wszystkie religie). Och te TAJEMNICE! Super, że świat je ma, a my jako rasa ludzka jesteśmy od tego, by je rozwiązywać, choć raczej na pewno nie poznamy działania świata, bo świat idzie w kierunku samozagłady. „Nic się nie zmienia, dopóki nie zmieni się sam człowiek, dopóty nie dojrzeje jego serce” – to zdanie znajduje się w mojej powieści. Czy ktoś takie zdanie wcześniej czytał? – wymyśliłam je sama, ale to nie znaczy, że miliony innych ludzi nie myślą tak samo, tylko oni tego





nie zapisują. Świat i jego prawa zakodowane są na tak małych poziomach, że obecna plazma jest być może wielkim organem w ciele Wszechświata. Wiem też, że spiny (prędkości cząsteczek) dwóch różnych niepowiązanych ze sobą cząsteczek, zamiast w dowolnej kombinacji ustawiają się w przeciwnych kierunkach, a więc każda cząstka ma przeciwną właściwość do drugiej, czyli jeśli jedna objawia się obserwatorowi jako biała, to druga musi być czarna. Następuje to w czasie obserwacji, bez wymiany informacji między cząsteczkami. Pomiar polaryzacji jednej z cząsteczek natychmiast daje informację o polaryzacji cząstki bliźniaczej. To zjawisko w kwantowej fizyce nazywa się „splątaniem” „Polizałam” też filozofię Upaniszad, która nazywa tę dualność Sziwą, czyli *tańczącym na dachu świata*. Więc tak sobie myślę, że nie tylko systemy naszych osobowości i całe systemy społeczne muszą podlegać tym „splątaniom”. Teraz konkluzja. Ludzie na całym świecie myślą podobnie, czego dowodem mogły być wiersze Beaty Klary i jej koleżanki Zosi bardzo do siebie podobne. „Wszystko już było...”.

Dziwnie dla mnie, że ta reguła dualizmu nieobca była chińskiej medycynie. Czyli, by dostrzec przyczynę problemu, potrzebne jest widzenie całości problemu, nie zaś jakiegos jej wycinka, a więc powinniśmy znać powiązania między częściami – wiedzieć, że dana całość pozostaje całością. Nie jestem pewna, czy dobrze się wypowiedziałam, choć sama to rozumiem...

## PRAWA NOGA A SPRAWA ZDROWIA

Janina J. Jurgowiak

Aż strach pomyśleć, z iloma problemami człowiek musi się zmierzyć w ciągu każdego dnia. Samo poranne wstawanie. Pamiętaj, tylko nie lewą nogą! Tylko nie lewą! Lewa to pech i nieszczęście na cały dzień. Więc prawą. Prawa pierwsza staje na dywaniku, pierwsza trafia w kapeć, pierwsza ma prawo do pończochy i buta, pierwsza przez próg, bo inaczej to pech i nieszczęście. Lewa tylko do marszu ma pierwszeństwo. A cóż w tej lewej takiego wyjątkowego? Czym sobie zasłużyła na takie wyróżnienie? Lewa się buntuje, lewą krew zalewa. Z pękniętej żyły. Poświęcam jej siłą rzeczy więcej uwagi.

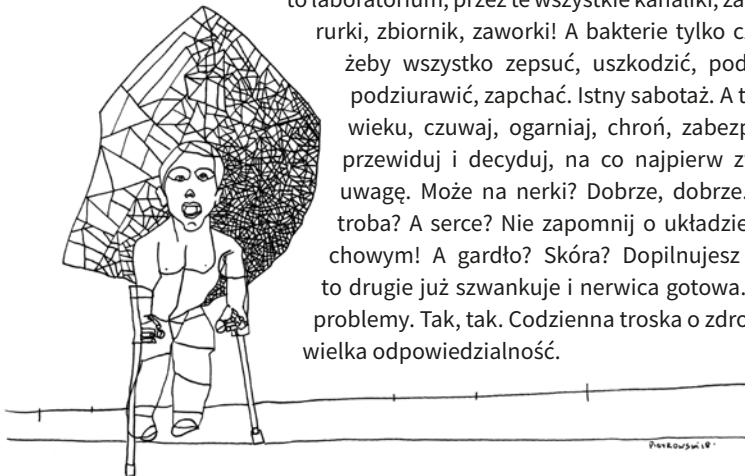
– Nie pękaj, proszę. Też cię kocham, bo jesteś moją jakże użyteczną lewą nogą.

I robię okłady, smaruję maściami, kuśtykam, bo oszczędzam i chronię. Łykam rutynę z kwasem askorbinowym.

– To dla ciebie – tłumaczę. Udobruchana znów służy, spisuje się dzielnie, tylko czasem przypominająco zakłuje bólem punktowym. Dopomina się o głaskanie. Dopomina się o to też prawa. Taka dotychczas faworyzowana zeszła teraz na drugi plan i czuje się odepchnięta, zdegradowana. Ooo, to niebezpieczne. Może się zbuntować, odmówić współpracy, więc i ją głaszczę, i smaruję.

A przecież człowiek ma jeszcze inne członki, narządy, organy, układy i nie można o nich tak całkiem zapomnieć. Trzeba czuwać, nadzorować. Przecież to wszystko już się nieco zużyło, sparciło. Weźmy na przykład taki układ wydalniczy. Ileż to hektolitrów zbędnych, a nawet trujących substancji przeszło przez

to laboratorium, przez te wszystkie kanaliki, zastawki, rurki, zbiornik, zaworki! A bakterie tylko czyhają, żeby wszystko zepsuć, uszkodzić, podkopać, podziurawić, zapchać. Istny sabotaż. A ty, człowieku, czuwaj, ogarniaj, chroń, zabezpieczaj, przewiduj i decyduj, na co najpierw zwrócić uwagę. Może na nerki? Dobrze, dobrze. A wątroba? A serce? Nie zapomnij o układzie oddechowym! A gardło? Skóra? Dopilnujesz jedno, to drugie już szwankuje i nerwica gotowa. Same problemy. Tak, tak. Codzienna troska o zdrowie to wielka odpowiedzialność.



## PRAWĄ NOGĄ

**Hanna Bilińska-Stecyszyn**

Tylko nie lewą nogą! Prawą, bo inaczej będzie nieudany dzień. I tak są nieudane, ale po co dawać pechowi dodatkową szansę. Pomalutku. Przewrócić się na lewy bok. Podeprzeć na łokciu i unieść. Ostrożnie. Żeby przy zbyt gwałtownym ruchu nie zakręciło się w głowie. Spuścić nogi na dywanik. Najpierw prawą! Jak trudno to wykonać, gdy wyjście jest na lewą stronę. Tyle razy mówiłam Jance, żeby przestawić ten cholerny tapczan. Sama nie dam rady. Ale ona wciąż tylko obiecuje.

Siedzę. Stopami szukam kapci, najpierw oczywiście prawego. Taki piękny sen miałam. Długo nie chciałam go wypuścić spod powiek. Wiadomo, kiedy się otworzy oczy i w dodatku spojrzy w stronę okna, sen znika. Śniło mi się, że Marcel daje mi kwiaty. Wielki bukiet róż. Purpurowych. Wszyscy wiedzieli, że innych kwiatów nie noszę. Kiedyś po spektaklu dostałam goździki. Cały kosz. Ledwo się powstrzymałam, by od razu na scenie nie odepchnąć go nogą.

Może to był kto inny, wcale nie Marcel? Może. Sen uciekł. To nic, poczekam. Marcel mi się śni coraz częściej. W jednym z ostatnich snów kochaliśmy się jak szaleni. Obudziłam się podniecona, jakbym miała dwadzieścia lat, potem przez cały dzień na samo wspomnienie robiło mi się gorąco. Dziwne rzeczy wyczyniają z człowiekiem hormony, które podobno już dawno poszły sobie na emeryturę. Jak ja.

Wstaję. Też powoli. Najpierw prawą! Parę kroków w stronę lustra. Nie zapalam światła, za oknem jest już dzień. Zawsze zostawiam roletę niedosuniętą, żeby wiedzieć, czy się rozwidnia. Na zegar nie patrzę. Nienawidzę zegarów. Rolety jeszcze nie podciągam, półmrok jest litościwszy niż ostre światło.

Ta kobieta z potarganymi włosami to ja. Nie patrzę jej w twarz. Wolę jasny połysk jedwabnej piżamy, który odbija się w lustrze. Wykonuję kilka wdechów, dziś tylko trzy. Potem trzy ostrożne wymachy rąk, trzy nóg, trzy niezbyt głębokie skłony. Wystarczy. Na karimacie nie będę się dzisiaj kłaść. Nie chce mi się.

Łazienka. Prysznic brałam wczoraj, dziś sobie daruję. Tyle potem tego wcierania balsamu w skórę. Coraz trudniej sięgnąć ręką do pleców. Janki nie poproszę, to zbyt intymne. Nikt nie ma prawa widzieć ciała, na które sama już nie chcę patrzeć. Nikt. Niech zapamiętają je takie, jakim było kiedyś. W filmach, na fotografiach. Na scenie. To, które Marcel nazywał biologicznym majstersztykiem.

Lustra. Marcel kochał oglądać moje zwielokrotnione odbicie, „tyle pięknych piersi i zgrabnych pośladków z każdej strony”, mówił. Teraz pewnie i on odwracałby głowę. Jak ja. Czy to możliwe, że kiedyś lubiłam na siebie patrzeć? Zimne, bezwzględne tafle! Osaczają mnie. Będę musiała powiedzieć Jance, niech coś z tym zrobi. Sama nie potłukę, to przynosi pecha.

Tylko jedno lusterko mi teraz potrzebne. To okrągłe, na półeczce z kosmetykami do makijażu. Prezent od Janki. Może znów cały dzień przesnuję się w pe-niuarze, ale to jedno muszę zrobić. Twarz.

Krem na dzień. Coraz tańsze te moje kremy. Wcieram byle jak, wklepywać też mi się nie chce. Puder. Podkład, potem sypki. Róż na policzki. Ostrożnie, żeby nie przesadzić. Światło w łazience jest słabe, Janka chciała wymienić żarówkę na silniejszą, ale się nie zgodziłam. Poradzę sobie. Powieki. Dziś ten nowy jasny cień, też od Janki. Rzeczywiście trochę odmładza. Rzęsy. Byle nie zadrasnąć się w oko szczoteczką do tuszu, nie rozmazać. Tyle razy to robiłam, trafiam. Wczoraj było gorzej, trzykrotnie musiałam zmazywać i zaczynać od nowa. Brwi by się przydało poprawić u kosmetyczki. Może będzie ta Ewa, nie szefowa, to policzy mi taniej.

Trudno. Nie miałam szczęścia jak Joanna, która po śmierci męża odziedziczyła jego majątek i teraz hula na całego. Wczoraj zadzwoniła i znów się chwaliła, ilu to ona ma adoratorów. Oczywiście młodych. Nimfomanka. Wiadomo, na co lecą, przecież nie na te przywidłe wdzięki. Już jej nawet operacje plastyczne nie pomagają. Że nosi perukę, też wszyscy wiedzą. Ja nie muszę, włosy mam jeszcze całkiem do rzeczy. Wystarczy przeciągnąć szczotką. Tylko do fryzjerki się powinnam umówić, siwe odrosty już na pół głowy.

Usta. Konturówka. Czas najwyższy kupić nową, ta się zaraz skończy. Też prosiłam Jankę, zapomniała. Szminka. Zmarszczki naokoło warg wyglądają w lusterku jak rowy. Lepszy krem by się przydał, ale skąd na to wziąć. Już i tak mi Janka wyprzedzała większość książek, zegarki i całą kolekcję płyt, bo starocie są znowu w modzie. Biżuterii od Marcela nie sprzedam za nic, choćbym miała głodować.

Perfumy za uchem. Wciąż te same od lat. Chanel, Marcel je uwielbiał. Spod ziemi potrafił wydobyć, byleby nie zmieniała na inne. Miał gest.

Śniadanie. Janka już pozmywała wczorajsze naczynia i zostawiła mi kanapki na talerzyku przykrytym bawełnianą serwetką. Kawa w termosie. Dzbanuszek z mlekiem. Znów zaparzyła zbyt słabą! Skoki ciśnienia, co za banał. Nie zrezygnuję z porannej kawy. Nigdy. Z Marcelem każdego rana tak zaczynaliśmy dzień. I czemu ona mi serwuje te okropne, blade pomidory z marketu? Ani to zapachu, ani smaku. Wolalabym ogórki w occie. Żołądek, chwalić Boga, mam zdrowy. Co za tłuk z tej Janki!

Zanim wróci z zakupami, zajrzę do gazety. Wczorajsza! Tyle razy Jankę prosiłam. Nie chce jej się rano przejść ten kawałek dalej, do kiosku. Przecież to na sąsiedniej ulicy, bliżutko. Za co jej płacę? Mówi, że teraz wszystko jest w internecie. Wiadomości, filmy, telefon do rozmów, nawet książki do czytania. Mam komputer, kiedyś kupiłam, bo wszyscy mówili, jaki to postęp i że nie wypada nie mieć. Janka przy nim siedzi, gdy posprząta. Zamiast wziąć książkę do ręki!

Ja nie zaglądam. Z początku próbowałam. Janka mi pokazała, co mam robić. Trafiałam na wzmiankę o „Pomarańczach z betonu”, akurat minęło czterdzieści

pięć lat od premiery. Ten redaktor napisał stek bzdur, zupełnie nie miał pojęcia, jaki to ważny film. Smarkacz. Najmocniej zaboląta mnie uwaga, że gdyby nie Marcel, z pewnością rolę Luizy dostałaby aktorka lepsza ode mnie. Też coś! Jeszcze gorzej brzmiały komentarze tych tam, internautów. Szumna nazwa, a za nią ukryci jacyś zwyrodnialcy. Język z rynsztoka. Aż wstyd cytować, co pisali. Że grałam cienko i wyglądałam jak stara rura. Rurę jeszcze bym strawiła, ale dlaczego stara? Miałam trzydzieści pięć lat! Innych wypowiedzi nie przytoczę. Obrzydliwość. O Żydach, ruskich, straszne, ile w ludziach nienawiści. Kto pozwala na upublicznianie takich pomysły?

Może nie byłam wybitną aktorką filmową, ale i o moich rolach pisano przyzwoicie. Mam pełne szuflady wycinków z gazet. Iwona na jednym raucie wyszczała mi, że Marcela wszyscy się boją, bo taki wielki partyjniak, dlatego nikt się nie ośmielił mnie skrytykować. Głupia alkoholiczka. O niej rzeczywiście pisali lepiej. Wiedziała, z kim się przespać. A jakie szopy odstawiono na jej pogrzebie! Jakie tłumy, jakie przemowy. Koleżanki z teatru, kiedyś gotowe utopić ją w tyżce wody, nad grobem w ciężkiej żałobie. Te welony, ciemne okulary, chusteczki przy oczach – zwłaszcza gdy kamera kierowała się w ich stronę. Widziałam w telewizji. Nie poszłam na cmentarz, nie zamierzałam brać udziału w tym cyrku. Nawet minister przemawiał. Ogłosił, że Iwonie przyznano pośmiertny medal. Ciekawe za co?

Co ci młodzi mogą wiedzieć. Marcel zrobił ze mną kilka filmów, lecz moim żywiołem był teatr. Jeden spektakl się tylko zachował, zrealizowany dla telewizji, niedawno przypomniany w jakimś powtórkowym paśmie. Resztę moich aktorskich dokonań mam w wycinkach z gazet, zdjęciach, programach teatralnych. Janka je kiedyś tak „uporządkowała”, że do dziś mi słabo na samo wspomnienie. Od tamtej pory ma zakaz wstępu do mojej sypialni. Kiedy jest o coś zła, wypomina, że zarastam kurzem jak te szpargały. „Szpargały”! Jak śmie? To relikwie. Ale czego chcieć od garkotłuka?

Po co o tym myśleć? Tylko serce zaczyna się odzywać. Krople mi się kończą, będę musiała wystać Jankę do apteki. Ona mówi, że powinnam się wybrać do lekarza. Na co mi lekarz? Czy ja nie wiem, co mi jest? Starość. Na to nie ma lekarstwa. Nie zamierzam się faszzerować chemią. Ziółka wystarczą. Zawsze zresztą miałam końskie zdrowie. Ach, te przyjęcia. Wódeczki po każdej premierze. Te pozarywane noce, balety do rana... Kiedy to było?

„Jak jestem zła, to nie mówcie do mnie. Zostawcie mnie!”. Grałam Maszę w „Trzech siostrach”. To ten spektakl. Żałowałam, że się skusiłam, by obejrzeć powtórkę, bo potem przez całą noc płakałam. Aż Janka, gdy przyszła rano, chciała wzywać pogotowie. Z trudem jej to wyperswadowałam, ale i tak przez parę dni nie mogłam dojść do siebie.

Filmy Marcela w telewizji też czasem przypominają. Nie oglądam. Tamta wiotka dziewczyna z włosami na topielicę i kocimi czarnymi kreskami na powiekach to już od dawna nie ja. Nie lubię jej. Kocham tylko Maszę.

Czechowa mieliśmy w repertuarze przez dwanaście lat! Zawsze kwiaty, burza oklasków, owacje na stojąco. Wszystko się skończyło, gdy wywalili dyrektora za przynależność do starej nomenklatury i przyszedł ten nowy. Szczeniak, ledwo pięć lat po szkole. Jak się mądrzył, jak nas pouczał. Ile durnych zmian wprowadził! Wielu z ekipy pozwalniał, niektórzy sami zrezygnowali.

W dodatku Marcel wtedy się związał z tą sikszą, którą wypatrzył na castingu do swojego nowego filmu. Primo voto Eugenia, ale na potrzeby filmowe Eurydyka. I do tego ptasi mózdzek. Żałosne! Ale gdy mężczyźni bielmem zaklei oczy miłośny dur, nie ma ratunku. Tyle studentek filmówki i początkujących aktoreczek już przeszło przez łóżko Marcela, byłam pewna, że najpóźniej za miesiąc będzie po sprawie. Też nie zawsze byłam święta. Jednak to ja stworzyłam mu dom. Kupowałam krawaty. Gotowałam niedzielne obiadki, żeby miał jak u mamusi. Dołożył mi tak, że się już nie podniosłam. Skurwiel. Klęczał przede mną na kolanach i płakał, że tak mu ciężko mnie ranić, ale dopiero teraz kocha prawdziwie. Gówniarę, która mogłaby być jego córką!

Po Marcelu miałam jeszcze kilku, lecz nikomu już nie ufałam. „Mnie się zdaje, że człowiek powinien być wierzący, przynajmniej powinien szukać wiary, bo inaczej pustka, pustka... Żyć i nie wiedzieć, po co lecą żurawie, po co rodzą się dzieci, po co są gwiazdy na niebie... Albo trzeba wiedzieć, po co się żyje, albo to wszystko fraszka, funta kłaków niewarte”.

Ja żyłam dla teatru. I równolegle dla Marcela, przez długie lata. Dzieci nie mieliśmy. Chociaż mogliśmy. Tylko że najpierw on nie chciał, potem ja. Ten pierwszy raz się zdarzył na początku naszego związku, gdy Marcel szalał, nosił mnie na rękach, zasypywał kwiatami. Moja kariera właśnie nabierała rozpędu, lecz to nie miało znaczenia. Liczyło się jedynie, że zostanę matką. Euforia trwała dwie godziny, od mojego wyjścia z gabinetu lekarza do powrotu Marcela z planu. Nie dostałam bukietu róż. Nazajutrz, w tym samym gabinecie, było po wszystkim. Potem jeszcze dwukrotnie. I to ja już decydowałam. Wykreśliłam na zawsze dziecko ze swojego życia. Coraz więcej grałam, nie chciało mi się szukać miejsca na pieluchy i smoczki. Skrobanka była wtedy tak banalna jak grypa. Nawet prostsza, najwyżej dwa dni leżenia w łóżku. Długo potem śniły mi się zakrwawione niemowlęta. Ale od dawna już nie mam takich snów. Może Bóg, jeśli jest, wybaczył mi.



Gorzko mi po tych kroplach. W lodówce pusto, muszę czekać, aż Janka wróci ze sklepu. Miała kupić sok. O czekoladkach pewnie znowu zapomni. Stale powtarza, że zamiast słodczy powinnam jeść jabłka. Nie cierpię, od dziecka mam uraz. Zmuszam się. Tak samo jak do spacerów. Kolana mnie bolą i coraz mocniej utykam. Po co świat ma to widzieć. Niech mnie zapamięta tańczącą na plaży w „Pomarańczach”. Od Janki niedawno dostałam listkę, że niby tak będzie mi łatwiej. „Niech pani idzie na świeże powietrze, do parku, ja w tym czasie zrobię obiad”, zachęca. Chodzić o lasce. Jeszcze czego! Prędkiej mnie na noszach wyniosą. Albo w trumnie. Do parku czasem wychodzę pod wieczór. Kilka kroków tam i z powrotem. Wystarczy. Wcale potem lepiej nie śpię.

W ogóle mało śpię. Czasem w dzień się zdrzemnę, może przez to. Na czytanie książek też nie mam specjalnej ochoty. Oczy mnie pieką po paru stronach. Okulary chyba za słabe. Trzeba będzie zadzwonić do okulisty, umówić się prywatnie na wizytę. Znów wydatek. Ale nie mam zdrowia do tych kolejek w przychodni. Do tego czekania.

Na telefon już dawno czekać przestałam. W branży mówią, że jestem trudna. Że dziwaczę. Przed odejściem na emeryturę, gdy miałam jeszcze etat w Klasycznym, obiecywali, że będą pamiętać. Czasem faktycznie ktoś zadzwonił. Albo ja sama wydzwaniałam. Po starej znajomości zapraszali na castingi. Dawali jakieś ochłapy. Umęczone wielodzietne matki, sprzedawczynie w mięsny albo windziarki. W teatrze też wtedy grałam same ogony. Jakie to było frustrujące. Ile razy piłam do lustra. To nie są dobre wspomnienia. Naprawdę z ulgą się z Klasycznym pożegnałam.

Jankę znam stamtąd. Przepracowała kilka lat w teatralnym bufecie, ale ją zwolnili w ramach oszczędności. Teraz przychodzi do mnie. Codziennie oprócz niedziel, na kilka godzin. Zgodziła się, mimo że płacę jej grosze. Może i tłuk, ale serce złote. Obiady jemy razem, opowiada mi, co tam na mieście. Zawsze gotuje tyle, żeby starczyło jeszcze dla męża. On na bezrobociu, więc w domu miseria. Ich dziecko w szkole, tam je. Dobra kobieta z tej Janki. Owszem, przyznaję, szczęściara. Nie jest sama. Ale jej nie zazdrozczę, bo czego? Kłopotów? Martwienia się o bliskich? Nie mam nawet kota, nie będę musiała po nim płakać.

I nikt nie będzie płakał po mnie. A przeze mnie kiedyś płakał niejeden. Zanim poznałam Marcela, miałam opinię łamaczki męskich serc. Niedawno ktoś z produkcji serialu telewizyjnego, tej głupiej „Miłości bez wzajemności”, sobie o mnie przypomniał. Zaproponowano mi rolę, rolę właściwie. Poprosiłam o scenariusz. Żenujące, kompletnie to się kupy nie trzymało. Jakaś wariatka pałająca się po krzakach, stuletnia jędza, której boją się w całej wsi i która nagle zyskuje moc uzdrawiania. Tekstu ze trzy słowa na krzyż, co najwyżej bezzębny bełkot. Odmówiłam. Nie zamierzam tak się poniżać, choć gaża wcale, wcale, Janka pułała się w czoło. Niech się puka, na zdrowie. Nie wszystko jest na sprzedaż. Jeśli

już, wołałabym zagrać w reklamie „CoregaTabs”, ale odrzucili mnie z miejsca. Jestem za stara. Choć zęby wciąż mam swoje.

Chyba faktycznie się zdrzemnęłam. Nie słyszałam, jak Janka wróciła, dopiero stuk garnków mnie obudził. Pomidorowa dziś będzie na wczorajszym rosolu i naleśniki ze szpinakiem. Janka pilnuje, żebym porządnie jadła. Apetyt dopisuje mi średnio, lecz przywiązałam się do tych regularnych posiłków. Aż dziwi, bo kiedyś wystarczyło skubnąć byle co w biegu. Za to w niedzielę celebrowaliśmy z Marcelem te domowe obiady. Albo szliśmy do dobrej restauracji. Ciekawe, czy mu ta dziumdzia Eurydyczka też gotowała rosółek?

Co mnie to zresztą obchodzi? Ledwie po dwóch latach puściła go w trąbę. Wyjechał na emigrację, tam próbował coś zrobić. Z miernym skutkiem. Do kraju już nie wrócił. Dziś go nie ma wśród żywych. Kiedyś marzyłam, że na emeryturze będę podróżować. W planie miałam najpierw Hiszpanię. Walencję, on tam jest pochowany. Chciałam zanieść kwiaty na jego grób. Białe róże. Nie pojechałam. Za co? Czasem tylko mi się śni, że tam jestem. Na hiszpańskiej plaży. Z nim. I te róże dostają od niego. Ciemnoczerwone.

Janka nie będzie dziś ze mną jadła obiadu. Śpieszy się, musi odebrać syna ze szkoły, bo mąż wyjechał na rozmowę w sprawie pracy, może podpiszą z nim umowę. Samej nie chce mi się siedzieć przy stole. Może na kolację sobie odgrzeję te naleśniki. Jakoś nie mam ochoty na jedzenie.

Włączam telewizor. Kanał za kanałem, wszędzie tylko reklamy. Może coś będzie wieczorem w programie, jakiś dobry film. Na razie przejrzę gazetę. Też masa reklam. I króciutkie tekściki, jak dla półgłówków, żeby się przypadkiem nie zmęczyli czytaniem. Wszystko psieje. Lepiej książkę poczytać.

„Lalkę” na przykład. Jaka ta łęcka była niemądra. Ale i nieszczęśliwa. Ofiara swojej sfery. Też to graliśmy przez parę sezonów. Miałam chrapkę na rolę Beli, jednak dostała ją Iwona. Ja byłam Wąsowską. Równie ciekawa postać, niestety w adaptacji mocno ją okroili. Rzeckiego zagrał Julian. Mistrzostwo świata. Dostał za tę kreację



piotrowski 18

nagrodę państwową. Całą obsadę wtedy chwalili, nawet mnie w tym epizodziku dostrzeżono. Mam te recenzje w szufladzie, często do nich wracam.

Rzecki mnie kiedyś śmieszył. Stary pierdoła. Dziś mnie wzrusza. Już od wielu lat jestem starsza niż on. Coraz starsza. Od prezesowej Zastawskiej także.

Za oknem wczesny zimowy wieczór. W telewizji jednak nie będzie nic ciekawego. „Lalki” też dość, oczy mnie bołą. Trzeba odsmażyć te naleśniki, trochę jednak zgłodniałam. Marcelowi by smakowały. Uwielbiał naleśniki, zwłaszcza na słodko, z wiśniową konfiturą. Rozczułało mnie, ile potrafił zjeść, takomy jak małe dziecko. Mówił, że smażyć najlepsze naleśniki świata.

Znów mi się serce tak głupio tłucze. Herbatę sobie zaparzę. Albo melisę, po niej lepiej się śpi. A może by zadzwonić do kogoś, pogadać? Nie. Ludzie nie słuchają, chcą tylko mówić i mówić, o byle czym. Już mam coraz mniej cierpliwości do wysłuchiwania cudzych historii. Lepiej pozmywam po kolacji. Ale nie wiem, gdzie Janka odkłada gumowe rękawiczki. Szkoda rąk.

Łazienka. Niewiele mam trudu z rozebraniem się. Cały dzień znów przesiedziałam w szlafroku. Tylko makijaż zmyć i trochę się ochlapać. No i zęby wyszorować. Dentysta też by się przydał. Może w przyszłym miesiącu, teraz nie dam rady.

Od jutra się poprawię. Ubiorę. Wyjdę gdzieś. Może Martusię odwiedzę, kiedyś mnie dublowała. Ona też na emeryturze, wnuki bawi. U nich zawsze straszny gwar, nie wytrzymuję dłużej niż godzinę, ale Marta taka miła, zaprasza, no i ciasta piecze wyborne, zwłaszcza serniki.

Rzeczywiście powinnam jeść mniej słodczy. I więcej ćwiczyć. Zmuszać się, mimo że trzeszczy w kościach. Jeszcze w ubiegłym roku moje poranne fikołki trwały co najmniej kwadrans. Spróbuję przynajmniej pięć minut dziennie. Od jutra...

Tapczan. Co za głupi wynalazek! To codzienne chowanie pościeli i wieczorne wyjmowanie. Muszę sobie zamówić porządne łóżko. Tylko za co? Z Marcelem mieliśmy takie staroświeckie łożo małżeńskie, piękną pościel, haftowaną narzutę. Śmialiśmy się, że to drobnomieszczańskie, ale jak miło się w tym łożu figlowało! Może znowu mi się przyśni...

Najpierw prawa noga. A lewy kapeć odrzucony kawałek dalej. Żeby rano się nie pomylić! Powoli się układam. Szczelnie otulam kotdrą. Zimno mi, zwłaszcza w stopy, choć mam na nich grube skarpety. Minie dużo czasu, nim się rozgrzeją i wreszcie usnę.

Nie klepię żadnych zdrowasiek. Do kościoła też nie chodzę. Marcel był zarząztałm ateistą i ja tak przy nim. Zresztą nie znoszę klechów, wszędzie się teraz panoszą. Czasem tylko wstępuję do kościoła, gdy jest w nim pusto. Na parę minut, żeby posiedzieć w ciszy. Nie modlę się, po co Panu Bogu nie do końca nawrócona grzesznica?

Może ja tak kiepsko sypiam ze strachu, że się już nie obudzę? Gdy nadciąga sen, coraz silniej dławi mnie uczucie, że wpadam weń jak do czarnej dziury, z której

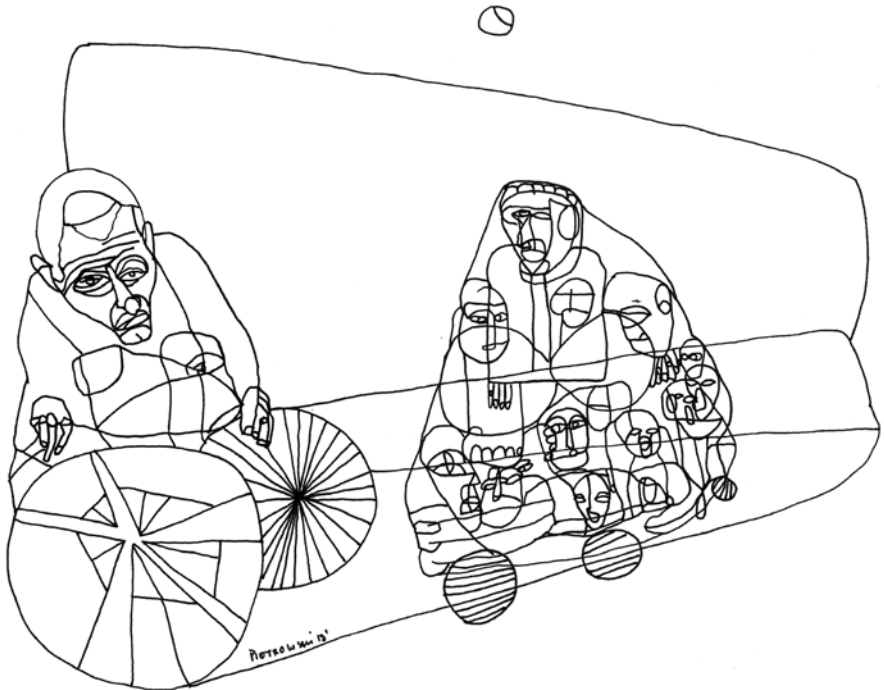
nie można się wydostać. Choć właściwie... Chciałabym umrzeć we śnie. Bardzo się boję choroby. Cierpienia, bólu, szpitali. Ciekawe, kto mnie pochowa. ZUS daje zasiłek, ale komu? Nie mam żadnej rodziny. Może Janka? Muszę wygospodarować jakąś sumę i jej zostawić, żeby nie miała kłopotu. Tylko niech broń Boże nie zdradzi nikomu! Jeszcze by tego brakowało, żeby mnie mieli fetować pośmiertnie, jak Iwonę, i pokazywać w telewizji. A resztą wszystko mi jedno. Może mnie pochować nawet opieka społeczna.

Jednego bym tylko chciała. Tam, po tej drugiej stronie. Znów spotkać Marcela. Boże, jeśli jesteś, spójrz przez palce na moje grzechy. Zdobądź się na gest. Tylko niech się tam nie pałęta żadna Eurydyczka! Nie wiem, czy w życiu po życiu serce może pęknąć z rozpacy, ale moje pękłoby z pewnością.

Co ja znowu wymyślam? Przecież nie śpieszy mi się. Jeśli mamy się spotkać w lepszym świecie, nie muszę się rozpędzać już dziś. Zdążę. Po co się zawczasu denerwować? Miałam Jance powiedzieć o tych kropkach, ale mi wyleciało z głowy. I o konturówce. I żeby tapczan przestawić.

Jutro powiem.

Jeśli znów nie zapomnę.



## W RUINACH KRAINY

Jerzy Hajduga

### 1.

Dzisiaj wojna w Ukrainie, blisko, na wyciągnięcie ręki. Co robić? Co byś zrobił, gdyby dzisiaj był twój ostatni dzień na Ziemi?

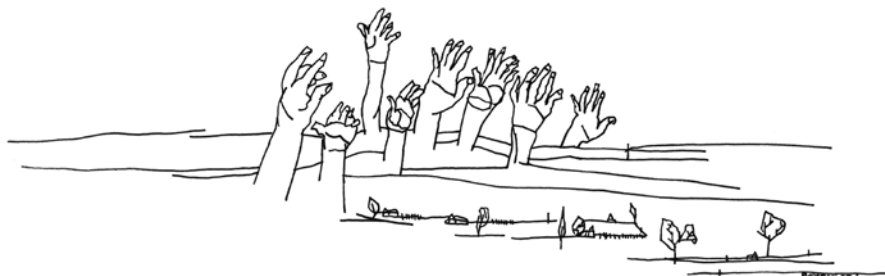
Czytam w prasie katolickiej, że podobne pytania stawiał młody ksiądz Stefan Wyszyński w czasie II wojny światowej. Widział żołnierzy przedzierających się na front, ale był także ze zwykłymi ludźmi. Kiedyś podszedł do rolnika siejącego w polu. – Panie, samoloty pikują, wszyscy uciekają, a pan sieje?! – rzucił. – Proszę księdza, gdybym zostawił to ziarno w spichlerzu, spaliłoby się od bomby, a gdy wrzucę je w ziemię, zawsze ktoś będzie jadł z niego chleb – odpowiedział rolnik. Te słowa ks. Wyszyński zapamiętał jak najcenniejszą naukę.

I we mnie odezwał się stary wiersz. Pisałem go bez wyobraźni na dzisiejszy widok Ukrainy...

### Nie mów że grób to cmentarz

ziemia ma prawo mieć brzuch  
oczekująca jak kobieta  
dźwiga swój ciężki

niech wszyscy wiedzą  
że mogą rodzić



**2.**

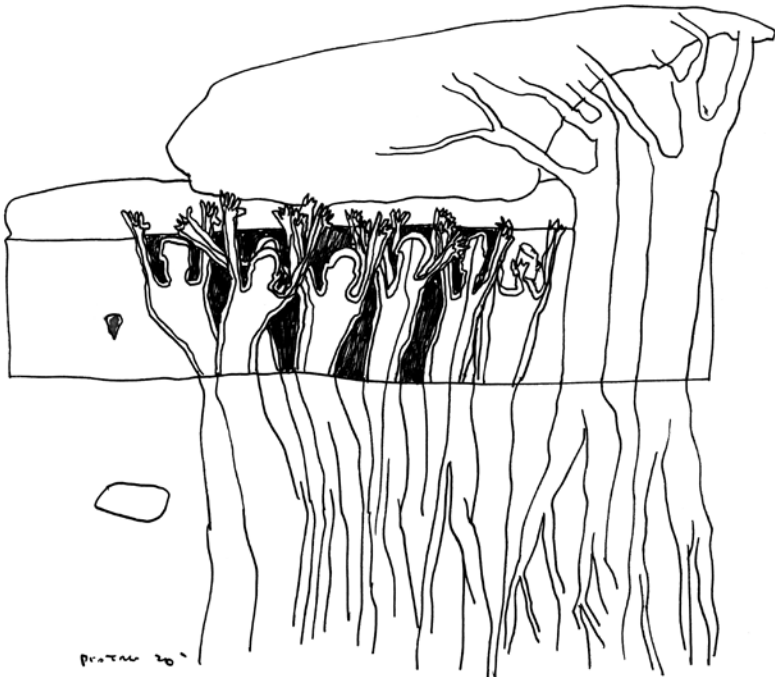
Pan z psem w schronie. Psa się nie zostawia, taka psotna wierność. Już niedługo przyniesie papcie w pyszczku i będą one w idealnym stanie...

Ściany nocą mają się

ze mną a ja przed snem  
zapatrzony długo  
w sufit

pakuj się

walizka otwarta tak  
patrzę co jeszcze  
zostawić



## A ZATEM.

### POCZĄTEK NIEPEWNEGO RODZAJU

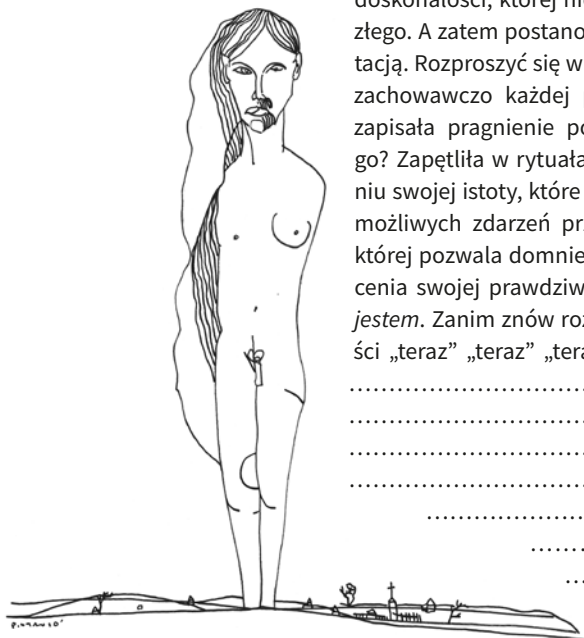
#### Marek Stachowiak

To książka, od której zaczyna się dla ciebie „teraz”. Choć twoje „teraz” nie jest zależne od tego, czy bierzesz ją do ręki. Czy odkładasz bez przeczytania wstępu. Czy jedynie ślizgasz się wzrokiem po czarnym prostokącie w formacie A3, być może ze złoczym napisem „Teraz”. Zresztą, z mojego autorskiego punktu absolutnie wszystko już zaszło. Cokolwiek piszę. Piszę dla siebie. Wszystko, co jest napisane, jest napisane dla mnie. A zatem z mojego punktu widzenia podział na moje, twoje nie ma sensu. Bo jesteś tak ważny, jak ja jestem. Wielce prawdopodobnym jest, że jesteś wersją, której jeszcze nie przeszło przez myśl, iż wszyscy wokół są dla ciebie, a ty jesteś dla każdego. Że bez tego rozbioru żaden z nas niczego by nie nazywał. A sam wiesz, że to co nienazwane, nie istnieje. A zatem, jeśli teraz to czytasz, to bardzo możliwe, że właśnie zaczynasz odkrywać potencjalność multiplikowanych jednoczesności z sobą. Absolutnie każdym. Nie! Nie ma znaczenia, że myślisz, iż to jednak twoje „teraz”. Choć masz rację! A rzekłbym nawet, że masz wieloświaty racji. Niemniej ten jest mój. Tutaj ja nazywam rzeczy i tu jesteś tak mną dla mnie, jak każdy obok ciebie. Jestem dla każdego, który to czyta, choć nawet nie musi. Jestem tym tuż obok i tym w zasięgu wzroku. Sobą i tobą. Tak! Śmiało mogę rzec, że jestem każdym, który jest i wszystko, co jest w każdym „teraz”, z mojego punktu widzenia jest dla mnie. Nawet jeśli jest to „teraz”, w którym unoszę głowę i odsuwam się od regału, rozglądając się po księgarni, lub to, gdzie tylko odsuwam się, by wygodnie przeczytać coś na chybił trafił z książkowego otwarcia i być może dopada mnie niepokój egzystencjalnych pytań, albo „teraz”, w którym dopiero zaczynam ją pisać w górnej izbie i miotam się pomiędzy chęcią rozbudowanego przemysłowania a podarowaniem temu sobie zwykłego spokoju zjadacza. A jednocześnie „teraz”, w którym jest już napisana i podlega wydawniczej korekcie, co w zasadzie jest autokorektą, lub to „teraz”, kiedy jest na wyciągnięcie ręki i właśnie sięgam po nią, która jest jedną spośród wielu napisanych przez całe mnóstwo mnie pozycji dostępnych na księgarskiej półce. Dokonuję pokieżnego oglądu, bo akurat zajmuję mnie pobliskie „najpierw”. Facet na prawo, w czarnej koszuli z krótkim rękawkami, o pociągłej twarzy, który w skupieniu przegląda jakieś czasopismo. A może to „teraz”, w którym jestem nim, trzymam jeden z wielu literackich kwartalników i usilnie nie daję po sobie poznać, że deprymuje mnie „najpierw” z gościem wlepiającym we mnie wzrok? Albo „teraz” ze starszą kobietą po lewej, która vis à vis regału książkowych nowości odwraca do mnie głowę, a niewielki zielony kapelusik zsuwa się jej na czoło. Ma bordowe mitenki.

Zwykłe spostrzeżenie, a jednak nie mogę wykluczyć, że w jakimś „teraz” nabiera kośćca mamuśki ze stron porno, że odczuwam chutliwy imperatyw. Poprawiam kapelusik, odczuwając przy tym osobliwy dreszczyk palenia w starym piecu. Dlatego teraz wypatruję spojrzeń dopuszczających rozciągniętą na wielość pojedynczość, a czasem czuję, że rozmijam się z tym sobą, który podobnie jak ja podejrzewa, że nie ma historii. Że jest jedynie bezgranicznie powielana terazniejszość, w której jest bezlikiem ofiar, sprawców, składnikiem rozbieganej tłuszczy. Elity. Bohemy lub zwykłych zjadaczy, którym każde ujrane „najpierw” w każdym spotkany tuż obok siebie samym, natychmiast stwarza ten jeden jedyny świat „teraz” i tak mam subtelnie różną nieskończoność światów ze mną od egocentryzmu do empatii. Gradacje wariantów, które mniej lub bardziej przeczuwają, że cokolwiek komukolwiek czynią – sobie czynią. A zatem każde „teraz” każdego mnie ma naturę będącą wytworem selektywnej uważności, a nawet jej braku w obcowaniu z tym sobą, którego akurat spotyka, czyta, ogląda, na którego rzuca okiem w przelocie, z którym rozmawia, słucha lub się spiera, do którego ma albo dopiero nabiera emocji. Dzięki któremu bije się ze swoimi myślami, mówi doń prosto z mostu, a nawet gryzie się w język. Którego uderza, a potem tego żałuje. Którego przeprosza, a nawet czyni mu zadość. Którego bierze na cel albo sobą osłania. Słowem wszystko, co składa się na „najpierw” w każdym osobliwym „teraz”, składa się na każdego mnie. Doświadczam się w relacji z napotykanym sobą samym, gdy obieram tę jedną jedyną i niepowtarzalną ścieżkę. A zatem moje „teraz” powstaje z bezliku moich własnych zaciekawień wynikłych w multum „najpierw”. Choć ja sam jestem wypadkową jednego. A zatem jestem kimś, kto nigdy się już nie powtórzy. Dlatego, gdy ukochana kobieta przynosi mi do górnego pokoju herbatę, zapisuję to. Zakładam, że w jakimś „teraz” wybrzmi moja matematyczna ważność, że jej idących z herbatą dla mnie, we wszystkich podobnych „teraz” musi być tyle samo, ile moich od niej ją biorących, ale także dopieszca mnie jej troska. Choć zastanawiam się. W ilu mnie zrodził się zamiar, aby ją poślubić? Czy każdej jej będącej także mną, zaświtała myśl, że jestem tego wart i czy aby konsekwencją bycia każdym, nie jest daleko idące pogłębienie ludzkiego poglądu na spotykane odwiecznie szukających się potówek, które w rzeczywistości za każdym razem jest kochaniem siebie. Zapisuję to. Ciekawe. Ilu mnie o tym rozmyśla? Ilu się kłopotczy i zмага, poszukując właściwego zdania? Ilu rzuca długopisem w podłogę? Zgniała kartkę lub niezliczone razy zamyka program Word z opcją *zapisz jako*. Ilu zachowawczo powiela tytuł różniący się liczebnikiem albo kasuje kolejny umysłowy zamęt? Ilu ma takie samo tysięjące, obolałe w stawach kłopotliwe ciało? Skrzywiony kręgosłup. Koronki na zębach. Z ilu myśl wychodzi, pragnie poznać siebie, postawić się niczym lustro naprzeciw, a gdy nie znajduje odbicia, dowiadyuje się, że nie może go mieć, bo jest absolutnie każdym?

A potem zdaje sobie sprawę, że nie ma niczego, co było, tak jak nie ma niczego, co będzie. Że jest tylko „teraz”. Nieustanna multiplikacja świata. Wieloświaty, w których wszystkie odstony mnie zachodzą w jednoczesności. Bo jestem wszystkim we wszystkich. Jestem starszymi kobietami i mężczyznami z czasopismem. Jestem hetero, homo. Jestem biseksualny. Lub szukam seksualnej tożsamości. Jestem tym, który w gabinecie psychoterapeuty zadaje pytania, i tym, który wywnętrza się, leżąc na kozetce. Coś kończę i coś dopiero zaczynam. Wydaję rozkaz. Wykonuję go. Rozstawiam na granicy żyłtkowy płot, a nawet jestem tym, który rzuca nań kłody, a zarazem patrzę na wysiłek rzucającego wielkimi piwnymi oczami pięciolatki. Łzawię ze strachu i od pieprzowego gazu. Jestem siedemnastolatkiem z Ghany. Zaliczyłem falstart do lepszego świata i po amputację stóp zgrałem się w grudniowym drzewostanie Białowieży. Jestem swoim własnym sąsiadem i jego niepełnosprawnym dzieckiem. Przydrożną prostytutką i jej wyuzdanym klientem. Jestem katem i wolontariuszem. Zawsze jestem w jakimś „teraz” i mam takie najpierw, w którym mogę być tylko tym, kim akurat jestem. Siedzę za stołem i spoglądam w ekran telewizora. Wojna w Europie. Prowadzę czołg i namierzam w siebie Jewlinem. Jestem tym, któremu wydaje się to niedorzecznym, ale i tym, któremu ta koncepcja zadziwiająco równoważy nieistnienie krańcowego zła, które podobnie jak dobro może być bezgraniczne. Podejrzewam swój boski początek. Przeogromną samotność doskonałości, której nie mogło dotknąć nic dobrego ani złego. A zatem postanowiła doświadczyć siebie fragmentacją. Rozproszyć się w nieskończoności „teraz” i jedynie zachowawczo każdej pojedynczości niezobowiązująco, zapisała pragnienie poszukiwania odpowiedzi. Dlaczego? Zapęłtiła w rytuałach wielu racji drażnienie ku poznaniu swojej istoty, które sprawia, że w cyklach wszystkich możliwych zdarzeń przejawia się niekiedy w odsonie, której pozwala domniemywać predestynacji do pochwycenia swojej prawdziwej istoty w punkcie *jestem, który jestem*. Zanim znów rozmieni się w bezliku jednoczesności „teraz” „teraz” „teraz” „teraz” .....

.....  
 .....  
 .....  
 .....  
 .....  
 .....  
 .....  
 .....  
 ..... „teraz”



Beata Igielska

## STAĆ

przed  
Bogiem  
katem  
plutonem

w kolejce po życie  
po miłość  
po chleb

zawsze  
wyprostowanym

\*\*\*

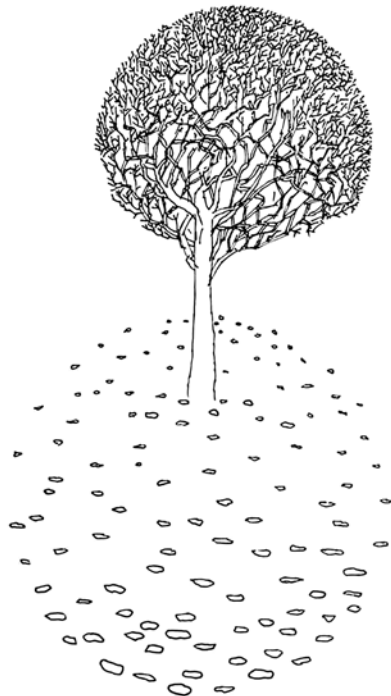
potrafię czytać  
książki  
recepty  
instrukcje obsługi

najtrudniej mi przychodzi  
czytanie  
między twoimi wierszami

\*\*\*

*Jerzemu Hajdudze*

tęsknię  
za światem  
który budowało się  
z klocków



## CISZA

### Łucja Fice

Sama w lesie. Słuchawki na uszach. Odcinam się od głosów natury. Koła roweru posłuszne moim stopom. Życie musi być piękne, przecież sama je tworzę. Choć wszystko wokół żyje, ma głos, to chcę słuchać CISZY. Wchodzę w siebie, zaznaję izolacji od świata. Jestem ze swoim lustrem, przeglądam się samej sobie. „Piękniejsza od muzyki jest tylko CISZA. W tej CISZY, która panuje w mojej głowie, czuję cały kosmos. Jestem miniaturowym kosmosem. SZCZĘŚCIE. W jednej sekundzie myśli zmieniają tory, jak ja ścieżkę. Teraz wchodzę do naszego DOMU. To wspomnienie zawsze mnie zaskakuje. Może istnieję w tym trójwymiarowym świecie i jeszcze w innym, który jest odbiciem tego świata jak w kryształowym lustrze? W takim razie w tym drugim świecie odbijają się również moje myśli, a jeśli myśli, to znaczy, że również moje grzechy? Czyżbym posiadała swój własny duplikat po drugiej stronie LUSTRA? CZY TY TAM BĘDZIESZ? Czuję się zmieszana przywołanym obrazem i znajomym zapachem. Przecież domy pachną jak ludzie. To odczucie jest jak ucisk, jak porodowy skurcz.

Spoglądam na okolicę, na ten piękny świat. Słońce chowa się za drzewami. Światło, co zdaje się być bezbarwne, robi się perliste. Ten krajobraz zaczyna być bardzo znajomy. Może ta okolica czekała na mnie? – Wiesz! Czuję się jak pomniejszony model samej siebie, a smutek sączy się po ramionach, splywa po udach w postaci słonego potu. Jestem wystraszona tym rodzajem wyobraźni, bo wiem, że nie wrócę do naszego DOMU, gdzie zaproponujesz herbatę, wspólne obejrzenie filmu i dotyk.

W moim sercu rządzi teraz rozterka i zamęt. Kochany. Może składamy się z własnych lęków, pragnień, a upływ czasu jest obojętny? Może życie to urywki albo strzępy naszych marzeń? Jak złożyć naszą historię, czy ona w ogóle istnieje? Ta CISZA odbiera mi rozum. Widzę ciebie. Też płaczesz? Styszę jakąś melodię. Czy to muzyka CISZY? Nie płacz, proszę, to nie pasuje do twojego optymizmu. Nie chcę wpaść w pustkę. Zamień tę czerń na róż mojej ulubionej nocnej koszulki. Chcę Ci powiedzieć, że po tylu latach rozłąki nauczyłam się czekać. Będziemy jeszcze grzeszyć. Myślę teraz o nas, DOMU, który tak daleki i ta odległość między nami. Odczuwam twoją bliskość miętą. Może tak pachnie tęsknota? Czuję głód powrotu. DOM. CISZO, bolisz mnie, choć jesteś piękniejsza od Miss Muzyki.

Zbliżam się do polany, na której pasą się konie. Polana jak teatralna dekoracja. W milczeniu przeglądam się zwierzętom.

Podchodzę do jednego i kładę dłoń na jego boku. Wyczuwam twarde, mocne ciało. Widzisz to? Zdumiewa mnie masywność zwierzęcia. Odsuwam się i czuję

samą siebie. To doznanie mnie poraża. Zdaję sobie sprawę, jaka jestem mała, skurczona i zwiotczała przy tym cielsku.

Nie odchodź, słuchaj mnie, proszę. Patrzę jeszcze na zwierzęta i zaczynam odczuwać, jak między nami następuje ciche porozumienie. Porozumienie pomiędzy człowiekiem a fauną, porozumienie między mną TU, a Tobą w naszym domu. Rozumiesz to? Natura jest CISZA, a może CISZA, to natura? Odczuwam tę całość. Ach! Więc jesteśmy całością? CISZA jest całością? – A materia, atom, oktawa, płaszczyzna, plan świata astralnego? – Co mówisz? – Jak w przyrodzie, tak w człowieku, panuje królowa CISZA. Ciszka to kobieta. Kobieta to królowa, która nosi w sobie światło, twoje łono wybuchalo dwa razy. Dwa potężne rozbłyski, które dały nowe życie. Był więc w tobie rozbłysk gwiazdy. Wiem, że żyjesz w kilku różnych światach zawierających się w sobie. Jesteś moją królową. Pytasz, gdzie teraz jestem? – W twojej głowie, kochana, w twoich myślach (bo tachiony, te hipotetyczne cząsteczki, które mogą w próżni przekraczać prędkość światła) i tym samym zaglądam w twoją rzeczywistość. Może w nas są furtki do tunelu CZASU i pojedyncze fotony w naszych komórkach podróżują szybciej niż światło i stąd w CISZY nasza komunikacja. Może istnieją w nas Informacyjne Porty z rezonansowym językiem i dlatego możemy komunikować się ze sobą. – Ach!, choć daleko, to blisko?

Ruszam w drogę powrotną z niepełną wiedzą zrozumienia odwiecznych spraw. Jestem już w cudzym domu, przy swoim podopiecznym. Ciało gibkie. Napastłam swe oczy zielenią. Spoglądam w lustro i widzę, jak odbija się w źrenicach nieskończoność nienasyconej odpowiedzi na dręczące pytania. Czym jest CISZA? Czym jest ten świat? Czym jest życie? Oczy łzawią od wiatru, czuję powiew we włosach i zapach lasu, który pachniał mi miętą. Taka miętowa wsunęłabym się Tobie pod kołdrę. Wyrrywam jeszcze kartkę z kalendarza, a na jej odwrocie, jakby przekaz zza lustra. „Uważaj na swoje myśli, bo zamienią się w słowa. Uważaj na swoje słowa, bo zamienią się w czyny”. Będę czekać na Ciebie w moim śnie, w mojej CISZY.

Twoja Luśka

Lipiec 2016, Passau

*Tekst miejscami zainspirowany został wierszami Agnieszki Kopaczyńskiej-Moskaluk, DZIEŃ X (1997) oraz GŁODNA (2007).*

## Tomasz Walczak

### NA ZDMUCHNIĘCIE

kiedy umierasz  
nie wiesz że to  
przyszło do ciebie

odchodzisz i nic  
o tym nie krzyczy  
milczenie świata  
dobija ostatnie  
współczujące drzewo

nazajutrz zostanie  
zamordowane dla  
deski którą przykryją  
co pozostanie

### ZAPACH PRZYPUDROWANEGO MIASTA

po drugiej stronie jabłka  
robak nie toczy życia  
z perspektywy kosmetyczki

cień upadłego nigdy  
nie spotka się z wędrującym  
odór uśmiechu  
nie przypięczętuje pocałunku

jabłeczny posmak na końcu  
drogi wspinającej się ku  
upadkowi także nie musi  
zakończyć się tragicznie

śpiące królowny przed  
skosztowaniem oglądają  
owoc ze wszystkich  
stron nawet tej ciemnej

pozostaje tylko fantasmagoria  
księżycowego portretu w ramie



## KAŻDEMU POTRZEBNY JEST DRUGI

### Aneta Gzińska-Hwozdyk

Muszlę przywiozłem znad morza. Znad morza przeważnie przywozi się muszle. Przyjechała więc ze mną znad morza, jak każda przeciętna muszla.

Była taka zwykła. Nie miała żadnych cech wyjątkowych, które mogłyby predestynować ją do grona ponadprzeciętnych muszli świata (o ile takie grono w ogóle istnieje).

Właściwie to nawet nie była muszlą. To muszelka. Biała, z delikatnymi wgłębieniami w swym twardym na pozór szkielecie. Miała swój wierzchołek – tam wszystkie paseczki łączyły się w całość, tworząc coś na kształt splotu, węzła. Zdawała się być krucha, a jednak była twarda. Mogłem stukać w jej powierzchnię, uderzać w nią paznokciem. Nie było różnicy dźwięków – podobnie uderzałem w powierzchnię kuchennego blatu lub telewizora.

Telewizor! Tam ją umieszczę! Będzie leżała na telewizorze. Moje okno na świat. Dzięki niej też zobaczyłem przecież kawał świata. Niechaj więc sobie tam leży – na telewizorze.

A może ja ją ukradłem? Może ukradłem muszlę? Nie. Przecież przy mnie fale wywały ją na brzeg i rzuciły na słońce. Wyszła w okamgnieniu. Nie, morze zdecydowanie jej nie chciało. Fakt. Nie musiałem podnosić. Ale może to było przeznaczenie? Na beżowej plaży leżała biała muszla odrzucona przez morze. Dlatego ją podniosłem. Nie czułem się winny. Na tym polega istota przeznaczenia – że czegoś się dopuściłem, bo tak było pisane, więc nie muszę czuć się winny.

Telewizor jest czarny. Biała muszla niczym łąta zakrywa nieistniejącą dziurę w powierzchni odbiornika. Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad tym, czy telewizor może posiadać dziurę na swej powierzchni. Właśnie. Przedtem... Czas zaczął płynąć inaczej. Podzieliłem go na Przedtem i Potem. Potem było z muszlą, a Przedtem jakoby wcale nie istniało.

Próbowałem coś tam oglądać, czegoś słuchać. Mówili o katastrofach morskich i lądowych, opowiadali głównie o morderstwach, kradzieżach, włamaniach, czasami wspominali o podbojach kosmosu. Tak dużo się działo. Nagle po raz pierwszy w życiu zacząłem odnosić wrażenie, że cały świat chce mnie obarczyć współwiną za nieszczęścia i tragedie. Jeśli nie winą, to z pewnością chce spowodować we mnie strach. Mam obowiązek bać się, obgryzać paznokcie, choć nigdy przedtem tego nie robiłem. I teraz też nie bardzo miałem na to ochotę. Czułem się jakoś niewspółmiernie do narzucanej mi winy – bezpiecznie mimo wszystko. Coraz częściej również spoglądałem w kierunku muszli. Nieskazitelnie biała, niewinna – leżała tam, gdzie zapragnąłem, by leżała. Czułem, że posiadam nad nią coś w rodzaju władzy. Gdy chciałem tę władzę okazać, przesuwałem muszlę. Mogłem

ją umieścić, gdzie tylko chciałem. Nie była bowiem niewolnikiem telewizora, choć stamtąd właśnie nie pozwalałem jej odejść.

Wkrótce zauważyłem, że muszla rośnie. Jej wąskie paseczki na twardej powierzchni stawały się coraz szersze. Z czasem przypominać zaczęły pofalowane wiatrem wydmy, a w każdej z tych bruzd mogło zagnieździć się jakieś życie. Z natury byłem samotnikiem. Jeśli w bruzdzie muszli narodzi się nowe życie, będę miał problem.

Katastrofy i trzęsienia ziemi już w ogóle mnie nie interesowały. Wpatrywałem się tylko w nią. Telewizor włączałem, gdyż w świetle kineskopu powierzchnia muszli nabierała lekko różowawej poświaty i delikatnie podświetlona nie mogła już nic ukryć przede mną ze swego wnętrza.

Rosta! Teraz byłem tego pewien. Po jakimś czasie przystoniła mi nie tylko ekran telewizora. Przystoniła mi cały świat. Podłużne paseczki utworzyły coś na kształt rąk. Każda z nich zakończona była malutkim pazurkiem. Gdy intensywnie wpatrywałem się w muszlę, wydawało mi się, że lekko drapie tymi swoimi pazurkami czarną powierzchnię, jakby zakopując się w piach, aby utkwic w nim na dobre. No tak – to nawyk zwykłej muszli z plaży, która zawsze ma tendencję do zakopywania się na dobre i na stałe, aby nikt, oprócz morza, nie mógł jej znaleźć i zabrać. Miało to w sobie coś z zapuszczania korzeni. Jeśli chce u mnie zamieszkać na zawsze, musi sobie uformować przeciwieństwo jakiś korzeń, który ją tu utrzyma. Tylko ja wtedy stracę nad nią władzę, gdyż nie będę w stanie przesunąć muszli z miejsca na miejsce.

„Moja tłuściutka muszelka” – tak nazywałem ją w myślach. Może kupić serwetkę z zachodem słońca dla „mojej tłuściutkiej muszeli”? A może postawić jej w tle jakiś widoczek z morzem, by swojsko się poczuła? Wydawało mi się, że muszla chce zdobyć nade mną władzę, ale nie walczyłem z nią o prymat. Nie przerażało mnie to w ogóle. Zacząłem wielbić kolor biały. Kupiłem sobie białe spodnie. W muszli coś się ożywiło. Zacząłem słyszeć szum, choć wcześniej nigdy nie szumiła. Teraz, gdy tylko wchodziłem do mieszkania i włączałem światło, wyraźnie słyszeć było szum. Początkowo byłem przekonany, że to wina splotczki w toalecie, która czasami „szumiła”, uświadamiając mi niezbitcie, że nie mam pojęcia o montowaniu toaletowych splotczek. Nie. To nie był taki szum. Moja muszla nie uświadamiała mi popełnianych przeze mnie błędów. Ona była zadowolona z samego faktu przebywania u mnie – z samego faktu bycia gościem na telewizorze. Słowo „domownik” po raz pierwszy przemknęło mi przez myśl, gdy muszla najpiękniej do tej pory zaszumiła na widok moich nowych białych spodni.

Postanowiłem coś dla niej zrobić. Poznawałem ją powoli. Rozgryzałem jej psychikę, zaczynałem być świadom jej upodobań.

Zakupiłem w pobliskim sklepie koszulkę w marynarskie paski i czapkę z biało-granatowym otokiem. W pasmanterii udało mi się kupić żółtą kotwicę,

k którą przytwierdziłem do czapki. W pełnym rynsztunku zasiadłem przed jej obliczem. Podświetliłem ją ekranem i wpatrywałem się. Szumiąca. Była wielka. Obok mnie przelatywały mewy. Poczuję ciepło piasku pod stopami. Słońce prażyło niemilosiernie. Obok mego ucha przemknął kormoran. Krzyknął coś na pożegnanie i rzucił mi jedno pióro na znak swej obecności. Moja górna warga miała słony smak. Byłem coraz bliżej brzegu. Piasek stawał się wilgotny. Kamień uderzył mnie w stopę. Wodorosty oplótły moje palce. Stopa zaznaczyła ślad na piasku. Zbliżałem się do muszli. Pod jej powierzchnią coś pulsowało, coś poruszało się. Biło? Tak, biło! Moja muszla miała serce. Biło w niej serce.

Nagle wyłączyli prąd. Pobiegłem po świecę. Nie chciałem stracić tego, co do tej pory udało mi się już odnaleźć. Świeca rozproszyła ciemności na moment jak światło morskiej latarni, ale klimat już nie wrócił. W nocy śniłem o dorszach i makrelach, które przepędzała od mych ust jakaś niezbyt imponujących rozmiarów ośmiornica.

Przestały istnieć dla mnie wszelkie muszle toaletowe i muszle koncertowe. Zacząłem być przeciwny nazywaniu czegokolwiek jej imieniem. Po zakupy wychodziłem z wielką torbą marynarską, na której narysowana była muszla. Nieco inna niż moja – taki zwykły „ślimalczek”. Ale to celowy zabieg – aby nie robić konkurencji tej jedynej.

Wracając z pracy, kupiłem białe skarpetki z wizerunkiem pirata. Obawiałem się, że może ona odczuwać lekki niepokój, gdy zobaczy owego pirata, ale okazała się muszlą bohaterską, nie tchórzliwą i całkowicie opanowaną. Poczuję się nawet nieco zazdrosny, gdy wdzięcznie zaszumią na widok pirata. Chciałem wyrzucić skarpetki do śmietnika, ale uświadomiłem sobie, że tamten jej szum nie był takim, jak na mój widok. To był po prostu zwykły, przyjacielski szum, szum – symbol akceptacji i pełnej aprobaty, a przecież aprobować może sobie, kogo tylko chce. Po zaakceptowaniu pirata przyjęła jeszcze konika morskiego z ceramiki, którego dostałem na pobliskim bazarze. Obdarzyła zaufaniem rybę, która wkrótce zamieszkała w akwarium.

Pewnego dnia wyprawiłem uroczystą kolację. Bałem się nieco tej konfrontacji i takiego sam na sam... wieczorem. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że elektrownia jest temu zdecydowanie przeciwna, ale tym razem prąd nie był mi aż tak bardzo potrzebny. Na stole znalazły się owoce morza, ryby, ostrygi, małże. Włączyłem cztery latarnie morskie w postaci świec. I czekałem...

Świeca omiotła płomyczkiem muszlę. W pierwszej chwili jej nie ożywiła. Wreszcie wpadłem na rewelacyjny pomysł. Potrzebna jest morska bryza, która ożywi płomień – wtedy on, pełzając coraz szybciej po powierzchni muszli, będzie starta się ją ożywić. I rzeczywiście. Lekko próbowała szumieć. Tylko przez moment. Później jeszcze raz i jeszcze. Nic z tego. Czyżby mojej muszli niezbędna do życia była energia? Bezmyślnie wpatrywałem się w ciemny ekran telewizora i przetykałem ostrygi, które tu i teraz próbowałem polubić. Nagle... Ujrzałem fale w ekranie. Po

nich coś ku mnie płynęło. Statek? Okręt? Jakaś tratwa? Łódź? Nie, to nie coś, to Ktoś! Z fal wynurzyła się cudna Syrena. Błyszczała w świetle latarni – czyli świecy. Jej zgrabnie przylegające do ciała tuski były całe wilgotne. Długie (suche) włosy kotłyły się na falach. Poczujęm się niezręcznie w stroju marynarza. Może powinienem być nagi jak ona? I wtedy mój wzrok padł na muszlę. Była malutka i niewinna. Taka bezbronna... I nie umiała ani szumieć, ani pływać. Gwałtownie wstałem i włączyłem światło. Zdmuchnąłem świecę. Włączyłem telewizor. Wyrzuciłem małże i ostrygi. Ogarnęła mnie złość na siebie i na cały świat. Ten prawdziwy – tu, obok mnie i tamten groźny, którym kąsał mnie mój telewizor. Susza w kraju, a u mnie przelewają się hektolitry wody. Do tego jakimiś dziwnymi fantazjami pasę sobie syrenki w stołowym pokoju. Jakbym nie miał innych zmartwień. Na telewizorze leżała moja muszla i to powinno być dla mnie najważniejsze!

Świat wracał do normy. Po katastrofach bywały kolejne, po suszach – zbyt obfite deszcze. Czułem się winny. Wszystkie nieszczęścia świata brałem teraz na siebie. Wszystko naraz zaczęło mnie dotyczyć, wszystko, co tragiczne, staowało się moim udziałem.

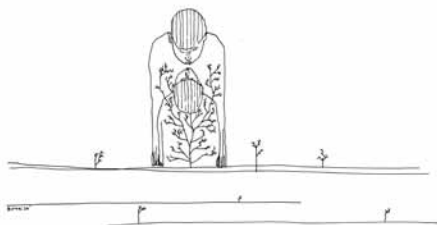
Muszla nie chciała szumieć...

Nadszedł kolejny beznadziejny wieczór. Wpatrywałem się w ekran telewizora. Wydawało mi się, że słyszę szum. Delikatny i daleki, ale mimo wszystko SZUM! Coraz głośniejszy i głośniejszy. Monotonny, jednostajny, lecz wesoły szum. Nie miałem wątpliwości – ożyła! Bałem się poruszyć. Próbowałem jeszcze bardziej pobudzić ją wzrokiem. Wpatrywałem się. Nagle zobaczyłem, że poruszyły się jej pazurki. Jak u malutkiej ośmiorniczki. Muszelka chodziła po telewizorze! Przez chwilę przypominała mi ślimaczka, który niesie swój domek na grzbiecie. Ona jednak najwyraźniej szukała miejsca, jakby chcąc zakotwiczyć na stałe swój okręciak, ślimaczek natomiast takiego miejsca nigdy nie szukał. Była doskonalsza od ślimaka! A później zatrzymała się. Pod jej podświetloną powierzchnią tętniło życie. Znowu biło jej serce. Znowu miała serce...

I właśnie wtedy przestała być muszlą. Stała się Muszlą.

Biała skorupka delikatnie się podniosła. Teraz już na pewno była dachem domu. Na progu stał człowiek. Nowy Człowiek, który począł się z miłości do Muszli.

Wówczas po raz pierwszy zrozumiałem istotę człowieczeństwa. Potrzebujemy Drugiego. Mój wziął początek z Muszli, którą uczłowieczyłem. Już nigdy nie będę sam. Będziemy miłować się na wieki i wielbić Morze, które mi Ją dało.



## GLOSA

### Ryszard Jasiński

#### I

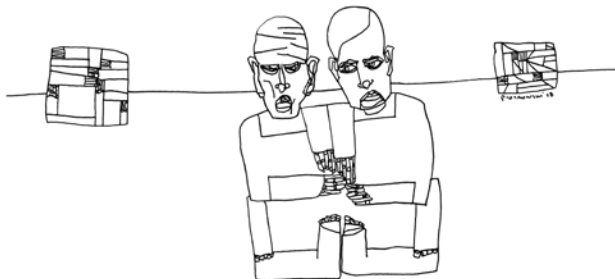
Wówczas, kiedy byliśmy jeszcze ludźmi, ciężarówki dostarczyły nas na plac. Dowódcy kiwali się w butach. „Rocznik 57, zrobimy z was ludzi” – refleksyjnie orzekł szef i dwa palce przytknął do czapy. Fryzjerki zarekwirowały nam włosy, ale dostaliśmy buty, pasy, spodnie, bluzy, hełmy i biało-czerwone postronki do obszycia pagonów. Zaprowadzili nas do izb po dziesięciu i przydzielili piętrowe prycze. Neonowe niebo tkwiło nad nami, a Bóg kaligrafował tablice.

#### II

Byliśmy stale ludźmi. Na placu wbijaliśmy asfalt krokiem marszowym, robiliśmy zwroty na prawo, w tył, w przód, w lewo i na prawo patrz. Pojedynczo, po dwóch, po czterech człapaliśmy i w kolumnie jeden nie odróżniał drugiego, a stunogi potwór parł jednolitą masą krok w krok, pysk w pysk, pas w pas, hełm w hełm, bagnet w bagnet, aż szef orzekł esencjonalnie: „Jeszcze będą z was człowięki”. Neonowe niebo pieściło jabłón, a Bóg niepilnie kaligrafował tablice, aby były dobre.

#### III

W niektórych z nas ciągle trwali ludzie. Zawiedli nas do łaźni, trzy plutony jednocześnie, między nogami zwisały zbędne przybory. „Dodają boru do kawy!” – panikował chudy magister podchorąży. „Głupiś, zapomnij o babach!” Napchali nas paszтетem z zaszlachtowanych wieprzy, popiliśmy regulaminem służbowym niczym kompotem z węgierek, przetrawiliśmy salcesonem przysięgi na wierność ludowemu ludowi i sojuszniczemu sojusznikowi. „No – piąt szef – wy prawie ludzie”. Neonowe niebo sikąło na nasze tby, a Bóg kaligrafował tablice.



## IV

Już nawet nie byliśmy ludźmi. Znudzeni dowódcy uczyli nas zabijać ludzi i sprytnie maskować się w transzei. Eleganckimi seriami opluwaliliśmy tekturowych ludzi, nie pudłując ni razu, z bojowych wozów piechoty waliliśmy do ludzi z blachy, padali niby świeższcze roztrzaskiwane maczugą. „Są z was ludzie – ocenił szef, a ciężarówki brnęły przez poligon. Wyliśmy: „Marsz, marsz, Polonia, nasz dzielny narodie”. Neonowe niebo celowało w nas gwiazdami, a Bóg kaligrafował tablice.

## V

Nie wiedzieliśmy, że kiedyś byliśmy ludźmi. Dali nam belki do przyszcicia na pagonach, nowe sznurki z bieli i czerwieni, bo stare wyblakły, wypisali przepustki. „Chcecie, to wam damy!” – entuzjazmowały się przy bramie kobiety i machały cyckami. Upiliśmy się. „Bydło, nie ludzie!” – ryknął szef. – „Tydzień manewrów, znów z was będą ludzie”. Żarliśmy mięso z wieprzy zapakowanych w konserwy i strzelaliśmy ślepakami do blaszanych ludzi. Neonowe niebo srało ze śmiechu, a Bóg kaligrafował tablice.

## VI

Kiedyś być może byli z nas ludzie, ale nikt już nie pamiętał. Panterki wrosły w grzbiezy, stały się naszą prawdziwą skórą. Leciwie pieściliśmy ludowe lufy ludowych automatów, żarliśmy kotlety z wieprzy i racjonalnie rozwalaliśmy czołgami wsie i miasta npla. „Są z was ludzie” – potwierdził nieomylnie szef. Neonowe niebo neonowiato, Black Sabbath zapalał na jabłoniach gwiazdę po gwieździe, a Bóg dokładniej szlifował tablice.

## VII

Neonowy śnieg sączył się z neonowego nieba, a Bóg kaligrafował tablice. Koszary uciekły, nasze śmiałe czołgi przerzynały skundloną noc i dzielnie kierowały lufy na Warszawę. Mróz trzaskał nas po pyskach, hełmy z białą kurą spadały na oczy podparte kolbami kabekaaka kaliber 7,6, w sam raz. „Dobry z was ludzie” – chwalił nas ludowy generał i nadstawił ludową dupę do wylizania ludowemu narodowi ustawiającemu się w kolejce, podczas gdy staliśmy obok, w plecy ludowego ludu z ludowych karabinów cichutko mierząc.

## KAPSUŁA CZASU

Jolanta Karasińska

dawne dni i noce zderzyły się  
z blaskiem słońca  
trudno je odnaleźć  
wśród zmurszałych myśli  
w przykurczu wspomnień  
przyciasne ramki  
nie pozwalają  
na oddech wolności  
na próżno poszukujesz  
innego spojrzenia  
w zmęczonych oczach

potrzebny jest czas  
by pójść dalej

pokutny czas rozgrzeszenia



Obraz Joli Rosót

## Marek Lobo Wojciechowski

### skowyt

Więc u nas wszyscy zdrowi. I ja jestem w zdrowiu,  
choć wcześniej coś czułam, coś mnie uwierało,  
ale teraz już przeszło. Coś jakby odeszło.

Dlatego rzadziej piszę, malej się uśmiecham.  
Pochylam się nad sobą (ale tylko w myślach),  
bo na co dzień wędruję. Od adresu w adres,  
od lekarza w lekarza, od bolączki w zimę.

I zamarzam jak grusza, cośmy ją wiązali,  
żeby prosto szła z ziemi. Ja pójdę skrzywiona  
tą nagłą, cichą próżnią, co wyrasta ze mnie  
w miejscu, co było pełne, a już nie jest pełne.

Więc wszyscy u nas w zdrowiu, tylko we mnie krzywość,  
choć mówią: „jest dobrze”. Nie jest dobrze, nie jest  
nawet tak sobie. Bo tu, w środku, pusto.

### geostrategicznie

Śni od wczoraj, bo resztę  
zabrała niepamięć. Albo  
raczej, niechęć do pamiętania.

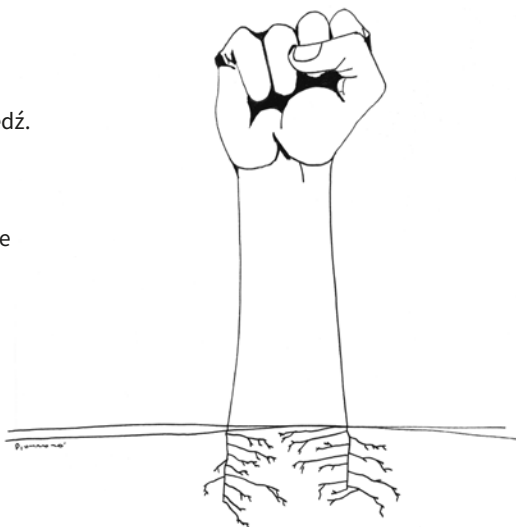
Stąd wnioskuję luki w tłach  
bieżących akcji. Zedrże się,  
zmruszeje – myśli – w końcu

błysk, zza kotary, da odpowiedź.  
Światło w tunelu, tak.

Jak inne, błędne pętle –  
wyobrażenia, nic niewnoszące  
w pośpieszny pochód, wśród

przypadkowych punktów  
czasoprzestrzeni, i: grób  
jak łożysko. Lub kokon.

W jednym z tych miejsc.



## NARRATOR

**Magda Turska**

### DZISIAJ

- Książka opowiada o przeżyciach dziewczyny, która wyjechała do Montrealu, żeby podjąć pracę w renomowanej klinice psychiatrycznej.
- Książka nie „opowiada”. Książka „przedstawia”. Narrator „opowiada”, „snuje opowieść”. Rozumiesz?
- No to: książka przedstawia przeżycia dziewczyny, która wyjechała do Montrealu, żeby podjąć pracę w renomowanej klinice psychiatrycznej.
- I co z nią?
- Z książką? Czy z dziewczyną?
- Z bohaterką. Rozwiń, co się z nią dzieje.
- Ona jest doświadczoną psychoterapeutką, która pracowała w Paryżu, bo tuż po maturze wyjechała na studia do Francji. Ukończyła psychologię i znalazła pracę w szpitalu na oddziale geriatrycznym.
- To chyba już nie taka dziewczyna, raczej kobieta?
- No tak. Kobieta. Kobieta.
- I co dalej?
- Podejmuje tę pracę w Montrealu i zakochuje się w pacjencie.
- Z tego co wiem, to w większości pacjenci wiążą się emocjonalnie ze swoimi terapeutami.
- Tutaj jest inaczej. Ona się zakochuje, a on nie. On jest wycofany i ma spektrum autyzmu. Całe dni przegląda mapę świata. Doskonale zna glob. Poza tym, interesuje się wnętrznościami.
- Wnętrznościami?
- Tak, wnętrznościami. Mózgiem też. Wydaje się, że jest lepszy niż neurochirurg. Tylko nie potrafi operować. Ale, jeśli chodzi o to całe nazewnictwo, to nikt go nie przebijje. Potrafi wymienić wszystkie organy człowieka po łacinie. Nie zna deklinacji łacińskiej, więc podaje tylko mianowniki. Ona się zakochuje. On nie.
- A dlaczego on nie?

– Bo on jej nie dostrzega. Jest pochłonięty krainami geograficznymi, stolicami, rzekami i górami. I jeszcze te wnętrzości. To jego życie. A ona myśli, że jest w stanie skłonić go do siebie. On jest bardzo przystojny i ma uroczy uśmiech. Ona wykracza poza ramy psychoterapii. Próbuje z nim flirtować. Opowiada mu o sobie. On nic. Zupełnie to do niego nie dociera. Cały czas mówi o szerokościach geograficznych i jelicie grubym.

– Czy ktoś to dostrzega?

– Nie, ona nie opowiedziała o tym superwizorowi. Boi się, że wtedy musieliby zakończyć sesję, a ona czeka na spotkanie z nim, odliczając godziny.

– I co dalej?

– Terapia nie spełnia kryteriów. Zakochana psycholożka nie potrafi pomóc pacjentowi z autyzmem. Wpatruje się w niego jak w obrazek. Myśli o jego oczach i kościach policzkowych. Snuje wizje, że są razem, że spacerują po mieście, że jedzą kolacje przy świecach. I to jedzą nie tylko od święta, na przykład w walentynki, ale dość często, właściwie raz w tygodniu nawet. Rzeka Świętego Wawrzyńca to ich ulubione miejsce na przechadzki. Płaczą się nadbrzeżem wieczorami, trzymają za ręce. Choć tak realnie to całkowicie niemożliwe, bo on nie znosi dotyku i w sumie dlatego zalecono mu te sesje. Ale ona marzy. Taki facet zdarza się raz na milion, mimo że nie można go uściskać, bo wybuchnie albo ucieknie.

– No dobrze. Jest wątek miłosny, są problemy, żeby nie było za różowo, ale jak się kończy historia?

– Nie doczytałam jeszcze. Jutro pani opowiem.

## JUTRO

– Dalsza część książki pod tytułem „Jak mi w Quebecu?” dotyczy przemiany głównej bohaterki, czyli psycholożki, która zakochała się w mężczyźnie w spektrum autyzmu. Ona postanawia się odkochać, bo dręczy ją sumienie, że źle wykonuje swoją pracę. W końcu nie niesie pomocy, w terapii nie ma progresu, a co więcej autystyk coraz agresywniej reaguje na wszelkie próby kontaktu cielesnego. Już nawet matka nie może go uścisnąć, choć wcześniej było to możliwe, pomimo pewnych oporów z jego strony. Stan mężczyzny się pogarsza, terapeutce trudno odnieść się do leczenia logicznie, jednak podejmuje próby stłumienia emocji i w końcu zaczyna postępować racjonalnie. Choć najchętniej pocałowałaby swojego pacjenta, wtuliła się w niego i cała reszta, to opanowuje uczucia i postanawia wycofać się z terapii. Przedstawia sytuację superwizorowi, który jest zaskoczony przebiegiem procesu. Doradza jej przesunięcie mężczyzny do innego

fachowca. Pojawia się oczywisty problem. Autystyk, mimo że nie miał błędnego pojęcia o intencjach psycholożki, przyzwyczał się do niej i nie wyobraża sobie zmiany. Odczułby ją jako odrzucenie. Leczenie spętałoby na niczym. Co zrobić w tej sytuacji – zastanawiało się całe konsylium kliniki. Postanowiono ostatecznie przydzielić choremu profesjonalistę płci męskiej, który przybył do Kanady jako uchodźca z Somalii.

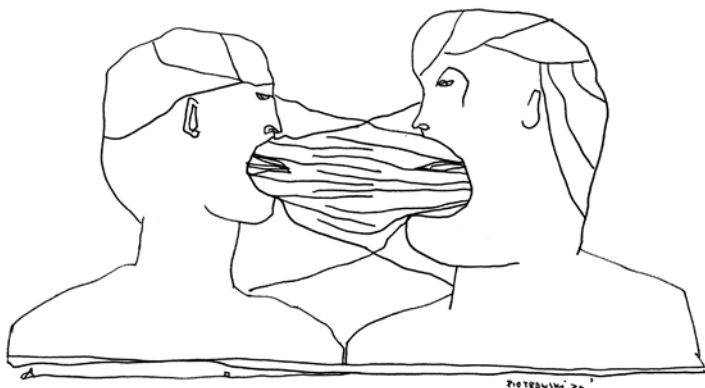
- Na tym koniec?
- Nie, jeszcze nie. Wczoraj zasnąłam przy lekturze. Ta książka jest trochę nudna.
- Za dużo przeżyć wewnętrznych?
- Nie, raczej mielenie tematu.

## KOLEJNY DZIEŃ

- Czy wątek somalijskiego terapeuty jest rozwinięty?
- Trochę, choć mam odczucie, że ta postać jest słabo nakreślona. To niewątpliwie mankament dla treści. Nic o Somalijczyku nie wiadomo. A myślę, że książka zyskałaby wiele na pogłębieniu tego wątku. Autorka mogłaby dookreślić, jak przebiegał proces asymilacji azylanta w Kanadzie i jak wyglądała droga do podjęcia pracy w renomowanej klinice psychiatrycznej. No, ale widocznie jest to postać drugoplanowa. Niestety, bo Somalijczyk też zakochuje się w autystyku. W tym momencie pojawia się głęboki konflikt tragiczny, ponieważ psycholog pochodzi z bardzo ortodoksyjnego kręgu kulturowego, gdzie homoseksualizm jest napiętnowany. „Jak mi w Quebecu?” nie rozwija tej kwestii. A szkoda, ponieważ postać traci na wyrazistości, staje się papierowa. Cóż, nie jest to dzieło na miarę Flauberta. Zresztą, panią Bovary jest tutaj psycholożka, a nie Somalijczyk.



- Właśnie, proszę powiedzieć, co z terapeutką i autystykiem.
- Ona traci chęć do pracy. Przygląda się innym pacjentom, nie pogłębiając terapii. Patrzy niecierpliwie na zegarek, odliczając sekundy do końca sesji. Wszystko jak w szklanej kuli. Przystaje słyszeć, nie empatyzuje, nie niesie pomocy. To fatalne, ponieważ jest znakomitą profesjonalistką z dużym potencjałem na rozwój. Jednak jej ambicje zostały uśpione, czuje rozczarowanie i niemoc. Oł, marnuje się dziewczyna. Tęskni za autystykiem, który tyle jej opowiedział o jeziorach polodowcowych, morenach bocznych i ciele migdałowatym. A autystyk spotyka się z Somalijczykiem i nie zdaje sobie sprawy, że jego terapia tkwi w martwym punkcie. Więcej, następuje regres, ponieważ zakochany w nim terapeuta nie potrafi podejść do pacjenta obiektywnie, bez całej tej nadwyżki emocjonalnej, którą powoduje stan fascynacji. Oczywiście, pacjent jest najbardziej poszkodowany, nie może liczyć na realną pomoc. Nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie na dystans mniejszy niż co najmniej metr. Matka martwi się, dostrzegając, że jej chore dziecko nie robi żadnych postępów.
- Czy to już koniec opowieści?
- Nie, koniec to szczęśliwe zakończenie. Wracając z terapii od Somalijczyka, autystyk zauważa przywiązanego do słupa psa, odwiązuje go i razem idą w kierunku domu. Pies podąża za nim w bezpiecznej odległości. Mężczyzna ogląda się co rusz za siebie, aby ostatecznie wpuścić zwierzę do domu i nakarmić. Pies zostaje, autystyk z przyjemnością go głaska i tarmosi za uszy. Pies szybko się oswaja i śpi w nogach łóżka mężczyzny. Okazuje się, że wyjściem z awersji do dotyku, było obdarowanie chorego zwierzakiem, nie zaś żmudne, wielogodzinne sesje z terapeutami, którzy zakochują się w pacjentach.



## KURSANTKA

### Hanna Ciepela

*Do ręk biorę skórkę. Jest miękka w dotyku, gładka jak brzuch psa. Przystawiam pióro i powolutku wprowadzam pigment. Rysunek musi być delikatny, dokładny. Nie mogę go zepsuć, bo skórka do ćwiczeń kosztuje pięćdziesiąt złotych.*

Mówią, że oczy są zwierciadłem duszy. Że potrafią o człowieku powiedzieć wszystko. Że niebieskie to oczy królewskie, zielone szalone, a piwne dziwne. I takie tam pierdoły. Tak, pierdoły. Bo nie oczy, a to co nad oczami jest najważniejsze.

Brwi.

W Wikipedii nazywają je „łukowatymi wypukłościami nad oczodołami porastającymi krótkimi włosami”, i że ich „podstawową funkcją jest ochrona oka przed dostaniem się do niego potu i deszczu”. Ale to tylko formułka. Naukowa ściema.

Bo brwi to uroda. Magia i tajemnica. Tak uważam. I nie tylko ja. Bo taki na przykład malarz od portretów Modigliani, o którym uczyliśmy się na plastyce, w ogóle nie malował źrenic, tylko właśnie brwi nad pustymi oczami. Bo brwi o człowieku mówią najwięcej.

Na przykład moja babcia. Ta, która mnie wychowała. Ona miała cieniutkie brwi rysowane poślinionym ołówkiem. I one się unosiły jak wełniane sznureczki, gdy babcia czytała mi stare bajki „Poczytaj mi mamo”. A dziadek? Dziadek miał brwi poważne i krzaczaste. A najbardziej krzaczaste wtedy, gdy zachorował na alzheimera. Jego brwi rosły bez opamiętania. Jak u kota. Może miały mu ułatwić orientację w przestrzeni? Ale nie ułatwiły. Jak kiedyś babcia zapomniała o schowaniu klucza, cały dzień dziadka po polach szukaliśmy.

Moja matka. Jej brwi słabo pamiętam. Ale ze zdjęcia, które babcia trzymała pod ubraniami, wydaje się, że miała brwi ładne, zaokrąglone, kobiece. Tyle że zdjęcie było strasznie pogięte, naddarte i niewyraźne. Po awanturze. Po krzykach dziadka, że „Mirka znów poszła w Polskę, a dzieciaka zostawiła”. I po płaczu babci, która zdjęcie podniosła z podłogi.

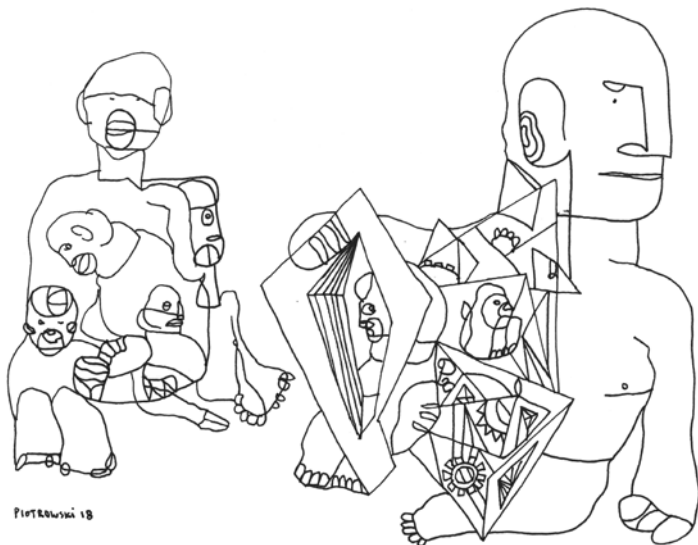
Kamil. Chłopak, z którym chodzę od roku. Ten to ma brwi piękne. Ciemne. Gęste. Łukowate. Trochę szkoda, że takie brwi tak się marnują. Bo przecież nic z nimi nie robi. Tylko się śmieje, jak mu mówię, aby je sobie przeczesał. Zresztą on to za bardzo brwi od rzęs nie odróżnia. Naprawdę! Kiedyś, jak sobie przy nim rzęsy maskarą malowałam, powiedział „ale masz długie brwi”. Taki gamoń! A spódnica? Sukienka? Nigdy nie wie, co mam na sobie. Chociaż tak często mnie rozbiera.

Jest jeszcze moja przyjaciółka, Klaudia, i jej problem z brwiami. Problem poważny. Nie dość, że ma brwi jasne, to jeszcze tak nisko położone, jakby była wiecznie niezadowolona. Sto razy jej mówiłam, że musi coś z nimi zrobić. Że przecież ładna z niej dziewczyna, ale „wymagająca opracowania”. Pokazywałam cienie, pomady, pędzelki, które sama stosuję. Nawet raz ją umalowałam. „Owszem, owszem fajnie” – kiwała głową. Ale potem znowu nic. Żadnej inicjatywy. Po prostu uparty osioł. Osioł bez brwi! Więc nic jej nie powiedziałam, że za te pieniądze, co po śmierci dziadka dostałam, zapisałam się na kurs online makijażu permanentnego. Sprzęt kupiłam. Pigmenty. Lateksowe skórki do ćwiczeń. I że oglądałam, że próbuję. I że będę profesjonalną *linergistką*. I że jej zrobię niespodziankę. Fajną niespodziankę na urodziny.

Więc kiedy pijemy z Klaudią drinki i Klaudia idzie się wysikać, wrzucam jej do szklanki pięć tabletek na spanie, co to zostały po dziadku. Klaudia pije jakby nigdy nic i pokazuje mi w telefonie śmieszne filmiki z kotkami. Potem ziewa. Potem znowu ziewa. Mówi, że „położy się na chwilkę”. A ja: „pewnie, pewnie, pośpij trochę. Potem pójdziemy na miasto”.

*Klaudia śpi. Odgarniam jej włosy z twarzy. Przynoszę sprzęt, rozkładam na stole. Najpierw linijką wymierzam początki, końce i najwyższe punkty jej nowych brwi. Potem zaznaczam je kropkami. Teraz wybieram pigment. Decyduję się na ten w kolorze kawy. Najciemniejszy. Biorę do ręki pióro ze sterylną igielką. Przystawiam do czoła.*

*Ale będzie pięknie.*



## Ferdynand Głodzik

### Królewski gest

Chcąc demokracji dotrzymać kroku,  
jak każą normy wszelakie,  
władca królestwa,  
jeden raz w roku,  
jadał wieczerzę z żebrakiem.

Gdy zastawiono stoły obficie,  
w doroczny czas niepowszedni,  
król wzrok obrócił  
ku swojej świcie,  
z pytaniem: gdzie jest mój biedny?

Nim dziad przekroczył królewskie progi,  
wcześniej zmieniono mu łachy;  
król go nakarmił  
oraz napoił,  
a potem zagrał z nim w szachy.

Rozgrywka była iście królewska,  
aż dech zaparło pół świata;  
za nic monarszy  
mając majestat,  
biedak królowi dał mata.

Krótko się cieszył zwycięstwem żebrak,  
król miał tendencję do fochów,  
że dotąd żadnej  
wojny nie przegrał,  
zamknął nędzarza do lochu.

Biedak rozmyśla nad losem marnym,  
w ciemności tęskniąc za stonkiem,  
i dojść nie może  
za żadne skarby,  
kto tu naprawdę jest pionkiem.



## SWOBCY, CZYLI UKRAIŃSKIE PĘPOWINY

Maciej J. Dudziak

*Wspomniałem Campo di Fiori  
W Warszawie przy karuzeli,  
W pogodny wieczór wiosenny,  
Przy dźwiękach skocznej muzyki.  
Salwy za murem getta  
Głuszyła skoczna melodia  
I wlatywały pary  
Wysoko w pogodne niebo.  
Czasem wiatr z domów płonących  
Przynosił czarne latawce,  
Łapali skrawki w powietrzu  
Jadący na karuzeli.  
Rozwiewał suknie dziewczynom  
Ten wiatr od domów płonących,  
Śmiały się tłumy wesole  
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.*

Czesław Miłosz, Campo di Fiori, Warszawa – Wielkanoc, 1943

*A my się kręcimy w samozachwycie,  
Bo nic się przecie nie stało,  
Ta jest wojna tylko w eterze,  
Dla nas to ciągle jest mało*

### Gorzów, 1/03/2022

... zwinęte ściśle folią rzędy baterii alkaicznych. Różnych. Wkładamy je ze Stepanem do papierowych toreb, w których już tkwią latarki, butelki na wodę, taśma klejąca. Pani przy kasie, siłąc się na uśmiech, stwierdza, że robimy chyba zakupy na wojnę. Zakupy idą na wojnę – wyjaśniam. Uśmiech znika. Za chwilę te rzeczy wyjadą do Charkowa... Po kilku minutach jesteśmy już na gorzowskim „kwadracie”, gdzie trwa sortowanie, pakowanie i układanie wszystkiego do TIR-a na ukraińskich rejestracjach. Christa Wolf pisała we „Wzorcach dzieciństwa”, że bywając w polskim Gorzowie, cieszyła się, że na placu, który zapamiętała z dzieciństwa jako miejsce zbiórek Hitlerjugend i SS, teraz w cieniu drzew siedzą ludzie: grają w karty i rozmawiają. Dodata: „Eskadry bombowców, które niszczą Berlin, zawracają nad L. i lecą bez przeszkód na zachód. Mimo to Charlotta sumiennie budzi swoje dzieci noc w noc, by się ubierały i schodziły do piwnicy, która z pewnością nie jest wytrzymała na bomby”.

Jeszcze teraz wprawnym okiem na niektórych kamienicach wokół „kwadratu” dostrzec można mocno wytarty skrót LSR (Luftschutzraum – schron przeciwlotniczy). Stepan i jego Brat zastanawiają się, czy wrócić na Ukrainę walczyć... Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, w jakim schronie, w jakiej brudnej piwnicy Charkowa i czyje palce będą odwijaly folie oklejające rzędy baterii alkalicznych pakowanych w gorzowskim markecie wśród uśmiechniętych par wybierających nowy wzór płytek do kuchni... Mógłby być to kiepski szkic do powiastki science fiction. Mógłby, gdyby nie działo się to tu i teraz.

## **Falkenhagen, 2/03/2022**

Rosja jest jak narcystyczna panna, która karmiona opowieściami o swoim pięknie, wyjątkowości i wielkości nie widziała nigdy swojego rzeczywistego oblicza. Nie docierały do niej ciche szepty, mocniejsze pogłosy o tym, jak wygląda naprawdę. Samozadowolenie i czar pryska / pryśnie, gdy pierwszy raz spojrzęła / spojrzę w zwierciadło, w którym odbił się / odbije się dzisiejszy: Charków, Kijów, Czernihów, Mariupol, Borodzianki, Chersoń, Sumy i setki innych ukraińskich miast i miasteczek. Rosjo, spójrz jaka i kim jesteś!

## **Poznań, 13/03/2022**

Ostatecznie to dobrze, że Rychu wziął i sobie umarł kilka miesięcy przed wojną w Ukrainie. Przeżył jako pięciolatek bombardowanie Stanisławowa. Opowiadał, jak siedział w brudnej piwnicy jednej z kamieniec nieopodal rynku. Szedł front. W sumie Rychu nie pamiętał, czy to bili Niemcy czy Rusczy. Ważne, że kiedy to opowiadał, dobijał prawie 80., a na wydobywane z głębokich warstw pamięci wspomnienia pierwszego uczucia rzeczywistości, do tamtej pory oblepiały go strachem.

12 marca 2022 Iwano-Frankiowsk, wtedy Stanisławów, znów jest pod bombami, a kolejnym dzieciom odgłos bombardowania zapisze nieścieralne wspomnienie pierwszego uczucia. Rychu zawsze powtarzał, że TO zaczyna się od niewinnej zabawy w wojnę: figurki żołnierzy rozstawiane na bitewnych polach dywanów bezgłośnie uśmiercają przeciwnika w dziecięcej zabawie. Potem pozornie niewinna gra wojenna wzmacniana jest przez propagandę sączoną przez krypto- lub wprost nacjonalistyczną edukację, a kończy się na bombardowaniu piwnicy... Dlatego dobrze, że Rychu wziął i umarł. Nie musi oglądać tego, co znów dzieje się w jego mieście.

## **Swobcy, czyli Chrystus zmartwychwstały**

### **Kołomyja 4/1988**

Dniało zapachem mokrej drogi ciągnącej gdzieś od Kołomyi. Tu i tam zielenki spiesznym krokiem ciągnęły ku cerkwi: dziś Pascha, dziś Chrystusowe Zmartwychwstanie. Dziadka zmęczenie półwieczną podróżą we własną historię pękło

adrenalinową salwą rozlaną po starych żyłach. Stanął przed niskim domem zmarłych, tym językiem śpiącym w nim od pół wieku, tym światem przegnanym z myśli dawno temu.

Nie wiedzieć czemu, będąc małym chłopcem, Kołomyję traktowałem nie jako nazwę określonego miejsca, lecz bardziej jako figurę językową, pewną jej formę wypełnioną aksjomatyczną treścią niepodlegającą interpretacji: niczym zbliżający się do religijnego kultu mit, w którym to właśnie niezmiennosc wypowiedzianej formuły decyduje o mocy i skuteczności jego działania. Kołomyja trwała zastygnięta w głębi rodzinnych opowieści, niosąc gdzieś za pamięcią nacjohisterii źle skrywaną ciepłą nostalgię ku miejscom pierwszego uczucia...

*Ziemia obrosła grubą fałdą tłustych wzgórz, jak syta obfitym obiadem chłopka rozciągnięta na piecu, której różowawe ciało nieledwie skryło się pod włochatym kożuchem. Dalej wśród tych wzgórz porozrzucane rozczapierzoną dłonią Pana załęgły niebieściejące domki, z których – niczym wotywnie prośby – pięły się ku niebu pastusze bicze niebieściejącego dymu. Pięknie było i spokojnie...*

W ten świt Jezusowego zmartwychwstania stałem za dziadkiem patrzącym mętniejącym białkiem oka na równy płot otaczający dom jego początku. Niezachwiana pewność w słowach: Tu się rodził... trzepnęła mną jak karcąca dłoń ojca zwracająca uwagę dziecku na wyjątkowość zapamiętania jakiejś chwili. Weszliśmy furtką w miękką glebę podwórka...

*...a dom wyrastał niebieściejącymi ścianami zgniatającymi warstwy nieba, jakby w nadziei, że ten prosty, lecz sięgającymi w ciemny kłęb wiadra historii, magiczny zabieg przybliży jego mieszkańców do miejsca, z którego zajrzeć będzie można pod spódnicę nieba...*

W środku prosto urządzonego wnętrza padli sobie w ramiona – bez słowa, bez cienia wątpliwości: dziadek i stryj Hryć. Staliśmy tak ledwie krótką chwilę, wodząc oczami za naszym przewodnikiem po tym świecie rodzinnych opowieści. Dziadek wypijał wzrokiem z każdej szczeliny czającą się tam czerniejącą materię, próbując dotrzeć do zapomnianej istoty pozostawionych tu dawno temu miejsc. Zaraz za ostatnią sztachetą zarośniętego ledwie kielkującą trawą ogrodu stoi kapliczka: podparty na jedno kolano siedzi Chrystus z ciałem poczerniałym od półwiecznej chłosty deszczem, z pustymi oczami-świadkami, w które można było się wpatrzeć aż do mdlącego bólu... Zresztą wszystko tu przykryte gazą tajemniczy i bólu określenia...

Dziadek z każdym dniem, z kolejnym miejscem, z każdą wydobytą z pamięci godziną szybko wytracał pozorną gładź polskości, tę narodził organicznie mu obcą, to wąskie określenie, tę abstrakcyjną formę więzi łączącej go z przerastającymi jego wyobrażenia o świecie milionami współbeziemiennych w narodzie. Zapominał.

W tym miejscu, w którym jednoznaczność traci swe wszelkie walory porządkujące rzeczywistość, polskość zadomowiona jedynie w kartach starych ksiąg odpadała z niego, niczym niedzielną koszula pieczętowicie przechowywana w dębowej skrzyni przy piecu, naciągana z niechętnym pietyzmem raz w tygodniu. Ta jednoznaczna konieczność wyboru narodu przyprawia tutaj o mdłości; w te dni Pańskiego Zmartwychwstania dziadek mój musiał stanąć przeciwko sobie, by mógł być ze sobą. Zdaje się, że dokonać musiał powtórnego zaanektowania tej części siebie, którą zdawało się dawno już zapomniał, dokonać kolejnej karkołomnej reorientacji poczucia narodowej przynależności. Zdaje się też, że na zawsze porzucił marzenie spędzające sen z oczu, iż naród potrzebny jest do godnego życia.

Kto ja?! Kto?... Pytania drzemały gdzieś w kącikach ust, budząc się impulsem wspomnienia. Receptę narodowego określenia przynieśli tu, do tej wioski leżącej oddech od Kołomyi, jedynie ci, co potracili swoje wspólnoty rodzinne, szukając uniwersalnej klamry, która spięłaby wszystkich w jeden niepozostawiający żadnych wątpliwości i niejasności naród, określający się poprzez całkowite odróżnienie od wszystkich nie-przynależących do narodu. Nic nie jest proste i klarowne, jak kodyfikuje to teoria, jakakolwiek... Tu, w tej wiosce rozciągniętej lepką drogą sunącą z Kołomyi, dostrzegłem, iż tylko cienie prawdy kryją się w odwrotnościach swych własnych pozorów. Nie dojdę nigdy do jakiegokolwiek istoty (tym bardziej prawdy), muszę ją wymyślić, opierając ją na fundamentach fundamentów pozbawionych.

## Nowe Dzieduszyce, 27/03/2022

W Gnossiennes 1 Satie jest coś niepokojącego i subtelnie złowróżbnego: jak czerwone niebo zapowiadające gwałtowny orkan.

W przysadzistym ponemieckim gmachu II LO w Gorzowie mówię do maturzystów o Schulzu, Drohobyczu i jego związkach z Gorzowem. Wśród słuchających jest Michał, mój syn. Jedną z jego prababć była Rosjanką, druga Ukrainką. On jest sobą. Z możliwością wyboru. Bez nadbagażu nacjohisterii.

Jak nasi niezbyt odlegli przodkowie znaleźli się tutaj, sto kilometrów od Berlina? W 1945 roku w mniej lub bardziej zorganizowany sposób, w bydlęcych wagonach nasi dziadkowie i babcie zostali tutaj przetransportowani z różnych stron. Dlaczego? Głównie z powodu chęci ucieczki przed ruskim mirem, oznaczającym między innymi przyjęcie sowieckiego obywatelstwa. W moim rodzinnym mieście przez wiele powojennych miesięcy pobrzmiwały na ulicach trzy języki: polski, niemiecki i ukraiński.

Chcę szybko skończyć opowieść o Schulzu. Na dole czeka transport. Jedziemy do Berlina, po panią Natalię, która uciekając przed ruskim mirem, znalazła się w Berlinie. Jest na wózku, nie ma nikogo poza Jalikiem, kieszonkowym psiakiem stanowiącym całą jej rodzinę. Chce do Polski.

Pani Natalia pochodzi z Donbasu. Wojna trwa tam od ośmiu lat. Odbieramy ją z Bernauer StraÙe, z jednej z fundacji, która dała tymczasowe schronienie. W oddali widać wie¿ę telewizyjną, a tu¿ przed naszymi oczami, na wyciągnięcie ręki, du¿y fragment MURU rozdzielającego przez dekady wolny świat od realnego urojenia ruskiego miru. Pani Natalia jest zdeorientowana, kiedy tłumaczę jej, że za kilkadziesiąt minut będziemy w Polsce. Po dwóch godzinach jesteśmy ju¿ w Gorzowie. W drzwiach ponemieckiej kamienicy przy Drzymały wita nas Żenia, Ukrainka pracująca dla jednej z organizacji pozarządowych. Panie przedstawiają się sobie. Żenia z uśmiechem reaguje, gdy sły¿y, jak przedstawia się pani z pieskiem: Jestem Natalia Sobczyńska. – Polka? – pyta Żenia. – Nu tak, tam pradiadki... Żenia kwituje to krótko i uśmiechem: – U mnie te¿ Polacy w rodzinie. To wszystko, sława Bogu, wymieszane. Prawda! Wszak największa wartoœć to ró¿norodnoœć...

## Swobcy, czyli lekcja genogeografii

15/03/2022

Kate jest Brytyjką. Jako jedyna z rodzeństwa i kuzynostwa mówi po polsku. To przez dziadka Dudziaka, który przez splot sytuacji i wydarzeń z Drohobycza trafił na Syberię. Szczęśliwie udało mu się dostać do Armii Andersa. Po wojnie nie wrócił do kraju. Zresztą, jakiego? Kate jest zawodową tancerką i wybrała Kraków na swój drugi, a w zasadzie pierwszy dom. Gdy Rosjanie napadli na Ukrainę, nie zastanawiała się specjalnie, czy i jak pomagać. Z przyjaciółmi zrobili zrzutkę. Wynajęli dwa mieszkania. Przyjęli dwie rodziny z... Drohobycza. Zupelny przypadek, choć... Mój osobisty kuzyn ma żonę również z Drohobycza. Przypadek?

Całkiem jeszcze świtem ruszyliśmy ze Lwowa na południe. Pociąg podskakiwał, my z nim, wciśnięci w drewniane ławy. Ludzie poobsiadali każdy centymetr drewnianych, szerokich ław. Pejza¿ za oknem coraz bardziej namoczony śniegiem, wspinał się wy¿ej i wy¿ej, uwypuklając wzgórze. Drohobycz był coraz bli¿ej.

O Drohobyczu wiedziałem wcześnie. Babka, ojciec, wujowie i ciotki mełli to miasto w ustach przy byle okazji. Opowiadali o sennych ulicach, o Żydach, cmentarzach, grobach rodzinnych, koœciotach, o Błędzie-demonie, co ich gonili po placach, rynkach i skwerach.

Więc wiedziałem tyle, by sobie wyobrazić, nadawać płataninie myśli kształty, zapachy. Później przyszedł Schulz, którego potraktowałem jak dalekiego wuja darującego mi swój pamiętnik wypetniony snującymi się bajaniami o mieście i miejscach znajomych, oswojonych rodzinną pamięcią.

Wertując stronic „Sklepów cynamonowych” i „Sanatorium pod Klepsydrą”, oddawałem się przygodzie podró¿owania, mając często za złe Schulzowi, i¿ jego historie kończyły się wraz z opłotkami miasta, pozostawiając poza tekstem świat mych babć, dziadków, wujków.

Po paru jeszcze domach ulica nie mogła już utrzymać nadal decorum miasta, jak chłop, który wracając do wsi rodzinnej, rozdzwia się po drodze z miejskiej swej elegancji, zmieniając się powoli, w miarę zbliżania się do wsi, w obdar-tusa wiejskiego...

Powiadał stryjek: – *Chodziło się do Drohobycza przez paświsko, to tylko kawatek, raz, dwa i na miejscu. A wiadomo: w mieście wszystko jest. Potem, jak się zaczęło pracować w Drohobyczu, w rafineriach, to człowiek zawsze po tym mieście pochodził, coś tam kupił, a i naogładał się tego miasta do woli: no, a później z powrotem: przez pole, do Rychcic! Buty się zdejmowało, żeby nie zniszczyć, a jak ciepło było i niedziela, to i spodnie, i marynarki...*

Tłum naparł mocno. Wszyscy wysiadają, pociąg dalej nie jedzie. Wyptynęliśmy z dworca na plac pchani falą gęsiego śpiewu i zapachu spoconych swetrów. – *Na tym dworcu, jak nas zabierali już na zachód, to jeden taki stary zwariował, czy co. Chodził cały czas i płakał, do nikogo nic nie mówił. Wreszcie dostał piany na usta i zmarł – mówiła kiedyś mi ciotka, przypominając sobie, jak musieli w 1945 roku wyjechać.*

Tuż przed wyjazdem do Drohobycza, we Lwowie spotkałem pana Petrynę, zakochanego w swej polskości warszawiaka, który przyjeżdżał tu co kilka tygodni, by pomyszkować na targach staroci. – Jako Polak i patriota – uświadamiał mnie z dumą – nienawidzę Żydów. To jest mój obowiązek patrioty, który musi się bronić przed Żydami wciskającymi się do polskiego rządu. Przypomniało mi się to przed domem Schulza, bo pan Petryna opowiedział ciekawą historyjkę, jak to w latach siedemdziesiątych kilku jego znajomych kolekcjonerów znalazło w Drohobyczu szkice i rysunki jakiegoś przedwojennego malarza, które sprzedali za spore pieniądze. Może chodziło mu o Schulza, nie wiem, dla higieny wołałem mu nie mówić, kim był Schulz.

Odchodzimy szybkim marszem w kierunku sypiącego się dworca. Byłem tu za krótko i za długo. Za krótko, by dokonać konfrontacji miasta z rodzinnymi opowieściami. Za długo, by nie ulec duchom przypadkowych Polaków, Żydów i Ukraińców, przypadkowych narodów i przypadkowo przypisanych im wspomnień wciąż rodzących konflikty. Dokonałem krótkiego marszu przez swoją tożsamość, przez okrucy pamięci.

Brodzę w Drohobyczu kawałkami nici, które zarzucone gdzieś w przeszłość budują z kawałków niedopowiedzeń półpytania i nieodpowiedzi.

Schulz w „Mityzacji rzeczywistości” pisał, że rzeczywistość tworzy się z okruców dawnych przeżyć i wyobrażeń, rozbijając stare rzeźby i sklejjając je ponownie w świeżych ciałach nowych historyj. Wyjeżdżam z przekonaniem, że niewiele z rzeczy, które stają między ludźmi pod sztandarami ideologii, godnych jest zaprzątania sobie nimi głowy. W tym mieście przeszłość i przyszłość istnieją wyjątkowo w czasie terażniejszym, bowiem to miasto przynależy sobie jedynie. Wyjeżdżam więc, mówiąc w myślach staruszkowi pochylonemu nad kieliszkiem horitki: – Mój Drohobycz twój.

## KAZNODZIEJA

### Andrzej Chmielewski

Wiek XVII na dalekim kontynencie rozpoczął się wojną holendersko-portugalską o Brazylię. Na drugim krańcu globu, w Japonii, nowy szogun przejął władzę, rozpoczynając okres Edo. W 1605 roku na Łotwie, po przegranej bitwie pod Kircholmem w wojnie o dominium Maris Baltici, gardła dało ponad osiem tysięcy żołnierzy króla szwedzkiego Karola Sudermańskiego. Tryumf polskiego oręża był wielki, lecz jak to już ongiś bywało – niewykorzystany. W 1610 roku doszło do bitwy wygranej przez hetmana Żółkiewskiego pod Kłuszynem. Zwycięstwo pozwoliło polskiemu królewiczowi zostać carem. Polacy, jako jedyjni w historii, zdobyli moskiewski Kreml. A gdy w Europie Zachodniej toczyła się okrutna bratobójcza wojna trzydziestoletnia, w 1621 roku w bitwie pod Chocimiem Polacy z braćmi Kozakami rozgromili tureckiego bisurmana.

W pamiętnym roku 1655 Szwedzi pod władzą nowego króla Karola Gustawa nagle zerwali rozejm z Rzeczpospolitą i ruszyli swoim potopem wojsk z dwóch stron jednocześnie na Wielkopolskę i Litwę. Rozpoczęła się wojna nazwana później potopem szwedzkim.

W 1656 roku szwedzki najeźdźca zamienił w popiół niemal całe miasto Trzciel, a miejscowego wikarego spalił razem ze świątynią. Tę tragedię opisał miejscowy urzędnik Marcin Heydrowski: *[...] Wojsko Nieprzyjacielskie Szwedzkie całe Miasto y Kościoły spaliwszy, także też Gęsi Miejskie y inne papiery miejskie spalili, bardzo mało co wprędce uchroniono [...]*<sup>1</sup>.

Wydarzenia te zmusiły miejscową ludność katolicką do krycia się w okolicznych lasach. A wezbrany w niej gniew powodował, że zbierała się w oddziały partyzanckie, które nieustannie nękały najeźdźców<sup>2</sup>. Jedno z dawnych niemieckich podań ludowych z tego okresu mówi o ukaraniu jednego z heretyków.

### Jak kaznodzieja heretyk pojechał do piekła

Był rok 1655. Szwedzi złupili i spalili kościół w Kaławie, który wierni następnie odbudowywali przez kilka lat. Tak samo stało się w Trzcielu, gdzie na stosie spłonął razem z miejskimi aktami miejscowy wikary.

Pewnego dnia kaznodzieja protestancki, zwany wówczas predykantem, jechał wozem z Międzyrzecza w kierunku Poznania. Podróżował, czy to nauki głosić, czy

1 Marceli Tureczek (red.), *Trzciel. Studia z dziejów miasta*, Trzciel-Zielona Góra 2008, s. 70.

2 O tym mówi dawna legenda „Góra Trębaczka” [Pegaz 1 (88) 2022].

to za inną potrzebą. Woźnicą jego był miejscowy katolik. Gdy tylko wjechali do lasu za Polickiem, może gdzieś pod Pszczewem, przy jednej grubej sośnie spostrzegli okazałego ogiera. Zaczęli się rozglądać, lecz nikogo przy zwierzęciu nie zobaczyli. Predykant zatem nakazał woźnicy dosiąść konia, lecz ten w przestraszeniu odmówił i powiedział, że jak kaznodzieja chce dosiąść takiego nieznanego konia, to niech sam to uczyni. Gdy tylko heretyk tak zrobił, ogier popędził w gęsty bór. Woźnica czekał i czekał na swojego pasażera, lecz po pewnym czasie, straciwszy cierpliwość, postanowił zawrócić.

Po powrocie do miasta opowiedział o tym, co zaszło, ale nikt mu nie uwierzył i uznano go za winnego zabójstwa kaznodziei. Wyrok postanowiono wykonać pod tą samą sosną, gdzie miała mieć miejsce rzekoma zbrodnia. Gdy dojechali na miejsce i szykowali już porządną sznur na szubienicę dla skazanego, wszyscy zebrani z wielkim zdziwieniem zobaczyli pod drzewem okazałego rumaka. Woźnica, który stracił już wszelką nadzieję na uratowanie życia, ożywiony krzyknął: „Komu tyle co predykantowi odwagi! Siadajcie!“. Wielu zeszło się na to widowisko, ale nikt nie odważył się dosiadać konia. Postanowiono, że posadzą skazanego i zobaczą, co się stanie. Gdy tak uczyniono, koń powiózł mężczyznę w ciemny las. Lud czekał i czekał. Kiedy już myślano, że nie zobaczą woźnicy, rumak z jeźdźcem powrócili. Mężczyzna zsiadł z konia i znowu zawołał do ludzi: „Chciecie widzieć predykanta i wiedzieć, dokąd zjechał? Koń zaprowadzi! Za koniem pójdziecie! Ja go w ognjach i w kotle wrzącym widziałem!“.

Nie znalazł się znowu żaden odważny na taką wyprawę. Zostawili więc konia tam, gdzie stał, i darowali woźnicy życie. Jedni mawiali, że predykant heretyk i koń do piekła go powiózł, inni, że to diabelska sztuczka woźnicy. Ale od tego czasu nikt w okolicy nie dosiadł stojącego samotnie w lesie konia.

Drogi Czytelniku, gdy zdarzy Ci się raz którego przejeżdżać przez te lasy, wypatruj rumaka. A czy starczy Tobie odwagi, by wsiadać na niego?

Autorka ilustracji: Elżbieta Fljatkowska



## NOSZĘ W SOBIE PIERWSZE ZDANIA

Z biografką i reportażystką Anną Kamińską rozmawia Magda Turska

**Gdyby snuć opowieść o pisaniu o kimś, to od czego by Pani zaczęła? Jak wygląda proces twórczy?**

Zacząłabym od trzęsienia ziemi jak u Hitchcocka (*śmiech*). To jest tak, że po wielu miesiącach zbierania materiału do książki, przychodzi taki moment, że wiem, jak ją zacząć i o czym ma to być opowieść. Zaczyna mnie nosić, czy roznosić jakaś ogromna chęć czy siła, by wreszcie zacząć i napisać te kilka pierwszych zdań. Nie mogę z nimi już dłużej chodzić, siadam i zaczynam pierwszy rozdział. Każda moja książka to jest z jednej strony czyjaś biografia, zbiór scen z czyjegoś życia, bo staram się to wszystko zapisać, czego się o kimś dowiedziałam, z drugiej strony, na głębszym poziomie, to jest zawsze: historia o miłości czy o samotności, akceptacji itd. I w tych pierwszych zdaniach czy rozdziałach pojawia się już ten przekaz, który stoi za czyjąś biografiją. Lubię te pierwsze momenty, kiedy tak się czuję, noszę w sobie te pierwsze zdania, aż wreszcie zapisuję. Towarzyszy temu jakiś rodzaj ekscytacji, bo sama nie wiem, gdzie mnie te pierwsze zdania poprowadzą. Proces twórczy zaczyna się zawsze od radości i takiego poczucia, że zaczyna się wielka przygoda.

**Biografia wymaga ogromnej uwagi, skrupulatności i detektywistycznego oka. Dlaczego właśnie taki gatunek literacki wzięła Pani na swój warsztat?**

Tak, to okropnie mrówcza praca, czasochłonna, obarczona bólem pleców przy ślęczeniu nad jakimiś dokumentami i sama się zastanawiam nieraz, pracując nad jakąś książką i zadając sobie pytanie: i po co mi to było?! To był przypadek, że zaczęłam pisać właśnie biografie. Po prostu książka o Simonie Kossak tak spodobała się czytelnikom, że było jakby oczywiste, że ja dalej napiszę jakąś biografiją, a Wydawnictwo Literackie ją wyda. I przydarzyła się wtedy książka o Wandzie Rutkiewicz, która trafiła do trzy razy większej „publiczności”, przechodząc nasze oczekiwania. W związku z tym, że te książki jakoś wychodziły, a ja się szybko dobrze poczułam z tym, czym się zajmuję, zostałam przy tym gatunku, chociaż odczuwam z wiekiem, że to jest okropnie męcząca forma i zdecydowanie łatwiej pisze się opowieść reporterską czy reportaż. Chodzenie czyimiś śladami jest męczące, żmudne i wyczerpujące, ale jest też fascynujące, kiedy odkrywa się więcej i więcej, myślę, że to daje napęd do tej pracy i nieraz nie pozwala się poddać i jej zaprzestać. Lubię zarówno pytać o kogoś, jak i potem pisać, oba te różne od siebie momenty w pracy nad biografiją mi pasują, czuję, że się w tym spełniam, może także dlatego zostałam przy takim gatunku, jakim jest biografia.

**Historie o Simonie Kossak i Wandzie Rutkiewicz szybko stały się bestsellerami. Niedawno, w 2021 roku, wydała Pani „Kotańskiego. Boga. Ojca. Konfrontację”. Co sprawiło, że mężczyzna został bohaterem biografii? Czy wybitne nazwisko znowu zagwarantuje sukces?**

Napisałam o Kotańskim, bo jego najważniejszy etap pracy w Polsce, wtedy gdy zaczyna pracować z hipisami, nie został przez nikogo opisany, a jest najbardziej ciekawym i barwnym momentem w jego życiorysie i jednocześnie interesującym czasem przemian w historii Polski. Kiedy to odkryłam, poczułam, że ktoś musi to napisać. To nie miało znaczenia, że piszę o mężczyźnie, chodziło o ocalenie pewnej historii. Kotański to fenomen w historii niesienia pomocy i działań społecznych w powojennej historii Polski. Zetknął się z osobami cierpiącymi na chorobę narkotykową, stanął na głowie, by im pomóc i zbudować potężną organizację. Okazało się, że w Polsce są osoby z wirusem HIV, które nie mają gdzie pójść, zorganizował im domy. Zobaczył na polskich ulicach po transformacji ustrojowej bezdomnych, zaczął zabierać ich z tych ulic i przewozić autokarami do schronisk. Kotański to postać dużego formatu, wielki społecznik, a jednocześnie ktoś, kto wywoływał salwy śmiechu wśród swoich pacjentów, showman, który odgrywał ciągle jakąś rolę, robił jedno za drugim widowisko, uświadamiając Polakom, że są wśród nas osoby, do których trzeba wyciągnąć rękę. Kotan, jak mówili o nim pacjenci, to barwna, charyzmatyczna postać, wielowymiarowa, jak wszyscy moi bohaterowie, trochę anioł i trochę diabeł. To od początku wydawała mi się idealna postać na książkę! Czytelnicy nie sięgnęli po nią tak „tłumnie” jak po „Wandę”, ale Kotański wzbudził jeszcze przed publikacją ogromne zainteresowanie producentów filmowych i mam nadzieję, że kiedyś, gdy zobaczymy go na dużym ekranie, wtedy poczuję, że ta moja książka rezonuje, bo to jest zawsze niesamowita przyjemność zobaczyć to, co się napisało, na scenie albo na dużym ekranie.

**Niektóre z sylwetek opisanych w „Białowieży szeptem” pośrednio łączą się z Simoną Kossak. Dlaczego akurat Simona zajmuje tyle miejsca w Pani twórczości? Czy powodem jest białowiecki genius loci?**

Puszcza Białowieża jest dla mnie wyjątkowym miejscem. Zdążyłam napisać obie te puszczańskie książki, zanim jeszcze w puszczy pojawiły się harwestery, niszczące ten najstarszy las w Europie i zanim w to miejsce został wprowadzony stan wyjątkowy i stało się dla mnie zamknięte jako osoby niebędącej mieszkańcem gminy Białowieża. W Białowieży tygodniami pracowałam, przesiadując w domach różnych osób, biegałam po tej wsi czy po lesie i ta puszczańska dzika przyroda wywarła na mnie wyjątkowe wrażenie i nieraz było mi bardzo trudno wyjeżdżać z puszczy. To miejsce na pewno ma swój urok, w Białowieży mówi się, że ci, którzy tam jeżdżą albo zostają na chwilę, albo wsiąkają w to miejsce tak, że nie mogą przestać tam wracać, bo puszcza wciąga jak bagno. I mnie wciągnęła

na dobre, mam tam przyjaciół, przejmuję się losem tego miejsca, śledzę ciągle, co tam się dzieje, z przerażeniem obserwując to, czego doświadczają tam dzisiaj mieszkańcy i ludzie, przekraczający granicę. To będzie dla mnie zawsze ważne miejsce, książki, które napisałam dzięki pomocy osób z Białowieży, są przetomowymi w moim literackim życiorysie. To jest miejsce, które mnie inspiruje i obfituje ciągle w jakieś zdarzenia, jest ciekawe, bo leży na pograniczu, które zawsze jest literacko fascynujące. Jest mi poza tym bliżej do lasu niż do miasta, nie jestem mieszcuchem, wolę mieć pod stopami korzenie, a nie bruk, jak mawiała przyrodniczka Simona Kossak. Myślę, że dziś jest to miejsce, do którego powinienam pojechać nie tylko ja, gdy już będę mogła tam wjechać, ale wielu ludzi pióra, by dobrze opisać to wszystko, co dzieje się tam od wielu miesięcy i na pewno będziemy o tym pisać i czytać książki.

**Według mnie odbrazowała Pani Wandę Rutkiewicz. Po lekturze miałam bardzo mieszane uczucia, a wręcz czułam niesmak. Moja znajoma przeciwnie – dla niej historia Rutkiewicz była na wskroś przejmująca i dramatyczna. Jakie miała Pani intencje, dlaczego właśnie tę postać chciała Pani przybliżyć czytelnikom? I co tak naprawdę czuła Anna Kamińska, pisząc tę niejednoznaczną biografię?**

Moim celem nie było odbrazowanie czy wyciąganie na piedestał Wandy Rutkiewicz, tylko pisanie prawdy na temat tego, jaką była himalaistką, a jednocześnie jaką była kobietą, tj. jakim była człowiekiem. Targały mną emocje tak, jak czuję je przy opisywaniu każdej postaci dużego formatu, a jednocześnie wewnętrznie sprzecznej i wielowymiarowej. To nie było łatwe, ale wydaje mi się, że pokazałam ją w pełni, tj. jako wielką postać, której osiągnięcia są niepodważalne, a z drugiej strony jako zwykłego śmiertelnika, pełnego słabości, który doświadcza też trudnych momentów czy przechodzi kryzysy. Pokazuję ją taką w książce, jaką ją poznałam, nie zatajając scen z jej życia, gdy traktowała ludzi instrumentalnie, bo takie są częścią tego życiorysu. W książce jednak tego nie oceniam, pozostawiam to do oceny czytelnikowi. I to on, interpretując tę opowieść przez pryzmat własnej wrażliwości, mądrości, odczytania czy doświadczenia życiowego, odbierze tę postać na swój sposób i zadecyduje, czy ten życiorys jest dla niego inspiracją, motywacją czy może przestrogą. Chciałam przybliżyć nam życie Wandy, bo jej życiorys jak żaden inny otwiera nam pola do dyskusji: o kobiecie w górach, o feminizmie, o relacjach między ludźmi, o górach i potrzebie ochrony dzikiej górskiej przyrody, czyli o tym wszystkim, co nas dzisiaj żywo interesuje.

**Trudne tematy poruszają również „Odnalezieni. Prawdziwe historie adoptowanych”. Odnoszę wrażenie, że ma Pani czarodziejskie pióro, które lubi dotykać tego, co tragiczne i mocne. To nośne wątki, ale jednocześnie nietatwe. Zastanawia mnie, jak kobieta, która na plakatach ma zawsze szeroki uśmiech, może z taką łatwością wchodzić w cierpienie innych?**

Na plakatach, które zapowiadają spotkania z czytelnikami, uśmiecham się do czytelników, nie do opisywanych problemów w swoich książkach czy do bohaterów tych książek! Mam pogodną naturę, mam zresztą wrażenie, że to mi pomaga w rozmowach z ludźmi, a jednocześnie zgoda: staram się być blisko z moim rozmówcą i razem z nim przeżywać to, co słyszę, a co nie zawsze jest wesołe i współodczuwać. Zdarza się, że płaczę już w samochodzie po tym, co usłyszałam, tak było wiele razy przy książce o Marku Kotańskim. Kiedy siadam do pisania, wyciszam jednak emocje. Przeżywam je w rozmowie, w podróży, ale przy biurku to traci na intensywności. To, co piszę, jest jakby wtórne do tego współprzeżywania i bycia razem z rozmówcą, chociaż zdarzało mi się ciężko przechodzić końcówki książek. Zawsze trzeba się pożegnać z bohaterem i chyba to jest dla mnie trudne także w czasie pisania. Z „Simoną” chyba najbardziej nie mogłam się rozstać i pogodzić, że to jest po prostu koniec jej życia. Psychoterapeuci odpowiedzieliby pewnie na to pani pytanie, że jeśli chodzi o rozmowy z ludźmi, którzy opowiadają mi o swoich dramatach, mam po prostu taką zdolność dysocjacji, tj. odcinania się. I jeszcze uspokoiłoby, że to dobrze, że tak jest, bo inaczej nigdy nie wychodziłabym z tych światów rozmówców czy bohaterów książki i groziłoby mi to, co mniej więcej Markowi Kotańskiemu, który musiał zrezygnować z pracy w szpitalu psychiatrycznym, bo za głęboko wchodził w świat ludzi chorych. Ja nie mam poza tym wrażenia, że podejmuję ciężkie, trudne tematy w porównaniu z tym, co opisują niektórzy reporterzy, piszący np. o wojnie... Książka „Odnalezieni” jest na swój sposób pogodna! Ludzie w większości przypadków cieszą się przecież, że poznali prawdę o sobie, swojej rodzinie: biologicznej, nie adopcyjnej i swoich korzeniach i zyskali dzięki temu spokój. To im dało ulgę.

**Na tle pani twórczości „Miastowi. Slow food i aronia losu” mają zaskakujący wydźwięk. Te minireportaże nie łączą się z tematyką, którą podjęła Pani w kolejnych utworach. To trochę jak słynny program BBC „Ucieczka na wieś”. Może z tą różnicą, że losy uciekinierów nie trąca bukoliczną bez troską. W końcu przedstawiła Pani także trudności życia wiejskiego. W jaki sposób dotarła Pani do tych osób, a następnie zdobyła ich zaufanie, by zechciały opowiedzieć o powodach fascynacji wsią?**

To nie było trudne, osoby, które odwiedzałam na wsiach, czy raczej „odludziach” w przeważającej większości opowiadały o swoich doświadczeniach z przyjemnością. Kiedy już dojechałam w te opisywane przez siebie miejsca, to już było z górki. Książka „Miastowi” jest na pewno najlżejszą z moich książek, poleciłabym ją czytelnikom na wakacje, do zabrania na leżak. To nie jest tak, że „Miastowi” nie łączą się z żadną moją książką. Gdyby nie oni, nie wiem, czy podjęłabym temat Simony Kossak, która też opuściła wielkie miasto i wyjechała na odludzie do Puszczy Białowieskiej. Nad „Simoną” pracowałam bezpośrednio po napisaniu

„Miastowych”. Znalazłam bohaterów książki, bo na tym polega moja praca, by znaleźć rozmówcę, otworzyć go, a potem napisać tekst, wymaga to po prostu jakichś kompetencji, które zawsze we mnie były, bo ja się tego nigdy specjalnie nie uczyłam. Myślę, że moja mama tak mnie wychowała, by być uważną w rozmowie. Inni nauczyli mnie tylko pisać. Tę książkę „Miastowi” dziś postrzegam jednak jako taki trening, właśnie przed „Simoną” i wszystkim tym, co wydałam po „Simonie”, czyli przed „Wandą”, a na pewno „Kotańskim”, bo ta ostatnia to jest najtrudniejsza z moich książek, tj. taka, której nie napisałabym, gdyby nie poprzednie biografie.

**Wróć jeszcze do „Wandy...”. Lektura tej emocjonującej biografii stała się przełomem w życiu matki, której syn zginął, oddając się swojej niebezpiecznej pasji. Autor nie jest w stanie przewidzieć, co wnosi w wirtualnego odbiorcę – tym razem wniósł ukojenie. Dziękując za taką twórczą moc, mam jednocześnie prośbę, aby przybliżyła Pani kolejne plany wydawnicze.**

Pracuję teraz nad biografią muzyka rockowego, pełnej wznoszeń i upadków. To niezwykła historia kogoś o ogromnym talencie, kto wykorzystał ten talent, ale wiele razy gubił się w życiu. W związku z tym, że mój bohater „przepadł” nieco w cieniu swojej znanej żony, chcę go wszystkim przypomnieć. Wiem, że przede mną jest jeszcze dużo pracy, ale ogromnie się na nią cieszę, bo znów czuję, że mam do opowiedzenia czytelnikom nową historię. W czasie tej pracy już spotkałam wspaniałych ludzi, którzy mi pomagają i stali się szybko „dobrymi duchami” tej książki, a to ma dla mnie ogromne znaczenie. Gdyby nie moja praca, nigdy nie poznałabym nie tylko wielu wspaniałych życiorysów i nie odebrałabym dzięki temu wielu lekcji. Nie poznałabym przede wszystkim wielu osób, które mi pomagają przy każdej książce, tych wielu, niezwykle mądrych, dobrych i wspaniałych ludzi. I znajomość z nimi czy przyjaźń to jest dla mnie zawsze największa nagroda za każdą książkę.



Fot. Magda Wiśniewska-Kraśnińska

## LIST ANDRZEJA HAEGENBARTHA, KRYTYKA SZTUKI DO HEGENA, ARTYSTY SZTUK WIZUALNYCH

Andrzej Haegenbarth

Drogi chłopcze,

z rosnącym zaciekawieniem obserwuję Twoje poczynania na polu foto-grafiki. Mając stosunkowo niewielki, bo dwunastoletni staż, w porównaniu do Twoich kolegów z kilkudziesięcioletnim dorobkiem, dajesz sobie radę i wyróżniasz się ciekawymi pomysłami, których niejednemu z artystów plastyków wręcz brakuje. Genialni Florentczycy z Renesansu rozwijali się wprawdzie o wiele szybciej, ale największy z nich Leonardo da Vinci wcale się nie spieszył, ba, więcej myślał i materializował swoje idee w rysunku niż malował.

Miło mi skonstatować, że działasz i rozwijasz się w swoim rytmie, kierując się wyłącznie własnymi przeświadczeniami, wyrażanymi w autorskich kompozycjach. Nie chcesz być modny ani za wszelką cenę sprzedawać swoich godnych zainteresowania prac, dlatego nie „siedzisz w internecie”, śledząc jakie tematy są akurat na czasie, ani nie jeździsz do Berlina w celu podglądania na wystawach najnowszych trendów. Ci, którzy tak postępują, nie zdają sobie sprawy, że będą powielali pomysły innych i co najwyżej znajdą się w ariergardzie sztuki.

Ponadto ważne wydaje mi się Twoje podejście do tworzenia. Postępujesz jak rasowy artysta, który najpierw nauczył się kadrowania, sepii i umiejętności wprowadzania kolorów, aby potem swobodnie operować nabytymi umiejętnościami. Ciekawe jest to, że z uwagi na swoją przeszłość nie zajmujesz się fotografią bezpośrednią, reportażem, które są stosunkowo łatwe, ani nie ilustrujesz z góry powziętych tez.

Myślę, że mając w tyle głowy ogólny pomysł, starasz się skomponować sugestywny świat przedstawiony, zestrajając użyte elementy; zespalasz to, co figuratywne, z niemimetycznymi akcentami kolorystycznymi czy przetwarzanym tłem. Ten sposób podejścia – przy wszystkich różnicach materii – przypomina mi twórczenie Władysława Hasiora, składającego swoje asamblaże z gotowych przedmiotów i materiałów, które miał „na składzie”. Był – jak wiadomo – autorem nie tylko „Moich złotych butów”, ale i wielowymiarowych pejzaży metafizycznych.

Jeśli chodzi o odbiór Twoich prac, to sądzę, że krytycy – mimo pozytywnych recenzji – za mało uwagi poświęcają strukturze przedstawionej, od razu przechodząc, i to w sposób zbyt ogólnikowy, do komunikowanych sensów. Poza tym mało kto docenia Twoje pomysły, rozstrzygnięcia kompozycyjne i zauważa dowcipy, widoczne

już w początkowych pracach. Myślę tutaj o „W poszukiwaniu godnej wieńca głowy”, w której przed pałacem w Zakrzewie wstawiłeś posąg Sławy, która patrzy (w domyśle na członków pleneru) i zastanawia się, czy wśród malujących jest ktoś, kogo mogłaby wyróżnić trzymanym w dłoni laurowym wieńcem? W innej wczesnej grafice z 2008 roku zatytułowanej „Królowa na spacerze z psem z innej bajki” nikt nie zauważył, że towarzyszące tytułowej postaci zwierzę jest plastikową zabawką. Natomiast sytuacyjne scenki z cyklu „Portrety i rozety”, ze świetnie pozującym Michałem Grudzińskim, są czymś więcej niż zwielokrotnionymi portretami aktora, ponieważ uświadamiają widzowi, że dążenia artystów niejednokrotnie nie są możliwe do spełnienia, że nigdy nie osiągną oni upragnionego nieba. Ale nie czepiajmy się mało wnikliwych krytyków, dajmy im szansę.

Warto wspomnieć o jeszcze jednej kwestii. Niektórzy odbiorcy wypowiadający się o Twojej twórczości, kiedy rozpatrują jakiś zestaw czy cykl, piszą o nim tak, jakby był on jedynym, czyli ekstrapolują swoje przekonania na całą Twoją twórczość. Zapominają albo nie wiedzą, że w Twoim dorobku znajduje się kilkadziesiąt różnorodnych prac wystawowych, że właściwie w każdym zestawie są takie przyciągające uwagę kompozycje, jak: monochromatyczne „Przebudzenie” z Dorotą WB, „Drzewo lewitujące”, o którym ostatnio fizyk nieskażony sztuką powiedział mi, że dla niego jest ono symbolem życia, które zdaje się wyrastać z łona pierwszoplanowej dziewczynki, czy malarski, niemal abstrakcyjny „Erotyk w przestrzeni”.

Recenzenci bywają ambitni i dużo czytają, chociaż nie zawsze dokładnie i ze zrozumieniem, i nie te książki, które akurat powinni przeczytać. Dla niektórych z nich „Czytanie – jak zauważył angielski historyk Artur Helps – jest czasem pomysłowym sposobem na uniknięcie myślenia”. Problem pojawia się wtedy, kiedy biorą się za pisanie o publikacjach łączących obraz z tekstem, chociaż tylko nieliczni mają dobre rozeznanie w sztukach plastycznych i literaturze. Taki przypadek zaistniał, gdy w drugiej dekadzie stycznia 2022 roku ukazał się niewielki objętościowo, ale atrakcyjny wizualnie album „W krainie Heliosa”. Jego główną częścią są – jak wiesz – zestawy Twoich „złotych” obrazów z komentarzami poetyckimi Marii Magdaleny Poczaj. Uważam, że dzięki jej talentowi i ukierunkowaniu przez nią wierszy na relacje erotyczne, Twoje kompozycje zostały „otwarte” na nowe doznania i niespodziewane przestrzenie interpretacyjne. Powstały symbolotyczne „duety” tworzące koherentną całość.

Twój świat boga Słońca zawiera aż dwadzieścia kompozycji wystawowych, przeważnie formatu 50x70 cm, ukazujących kobiety w rozległym, rozłożonym, przesyconym blaskiem pałacu Heliosa. Spośród nich w edycji książkowej znalazło się siedemnaście prac opatrzonych komentarzami w formie wierszy. Ów wszechobecny złoty blask w siedzibie wspomnianego tytana, widoczny nawet w oczach jego

potomstwa, wspaniale przedstawiła Madeline Miller w początkowych partiach swojej powieści „Kirke”, inspirowanej Twoje prace. Przypuszczam, że wypowiadający się o nich książki nie czytali. Gdyby było inaczej, złote wnętrza, które scalają cykl, by ich nie przytłaczały i nie budziły krytycznych uwag. Jedna z recenzentek – w tekście „Kicz czy kampu?” – po inteligentnych uwagach napisała o swoim wrażeniu nadmiaru, natłoku, przejawskawieniu, przeskalowaniu (podkreślenie moje AH). To wrażenia subiektywne, ale pisanie o sztuczności i stylizacji uważam za przesadę.

Chyba się ze mną zgodzisz, ponieważ wiem, że wzorem dawnych mistrzów, dbasz o naturalność i piękno przedstawień. Myślę, że wyżej podkreślone komponenty opinii są naciągane. Miały, jak się wydaje, uprawomocnić nietrafioną tytułową alternatywę. Ponadto odnoszę wrażenie, że autorka nie w pełni rozumie pojęcie „kampu”, o którym tak wnikliwie pisała Susan Sontag w „Zapiskach o kampie”. Możesz się wprawdzie cieszyć, że Twoich prac nie zaliczono do kiczu gorszego gatunku, czyli ogrodowych krasnali, ale daleko im również do kampu. „Kamp to postrzeganie świata – czytamy w tekście Sontag - w kategoriach stylu – ściśle określonego. To uwielbienie dla przesady, offu, rzeczy, które udają coś, czym nie są”. I w dalszej partii tekstu: „Znakiem rozpoznawczym kampu jest duch ekstrawagancji. Kamp to kobieta w sukni z trzech milionów piór. Kamp to inkrustowane prawdziwymi klejnotami obrazy Carla Crivelliego, na których owady i pęknięcia w murze sprawiają niezwykle realistyczne wrażenie”. A w Twoich kompozycjach kobiety występują we własnych, niewymyślnych strojach. Jedynie Nati jawi się w greckim kostiumie, ale jest naturalna i nie ma na sobie kilogramów cekinów ani ekstrawaganckich ozdób.

Niewątpliwie kampowe są fotografie amerykańskiego fotografa LaChapelle'a z cyklu „Songs For the World”, które można było obejrzeć w 2018 roku w Galerii na Dziedzińcu w poznańskim Starym Browarze. Portrety rodziny Kardashianów i rozmaitych bóstw w plenerze miały wszystkie cechy, o których pisała Sontag.

Długo można dyskutować o tym, co jest, a co nie jest kempem. Twojego cyklu „W krainie Heliosa” – mój złoty chłopcze – to miano nie dotyczy, ponieważ, oprócz tego co wyżej zostało powiedziane, zastosowałaś rozstrzygającą w tym względzie zasadę decorum. Najkrócej mówiąc, użyłaś odpowiednich środków artystycznych do przedstawienia kobiet we wnętrzu pałacu boga Słońca. Dlatego, moim zdaniem, w Twoich pracach z cyklu, o którym mowa, nie ma dysonansu między stylem a treścią.

Na koniec życzę Tobie, mój Drogi, kolejnych błyskotliwych pomysłów i wielu zachwycających realizacji, a krytyków dopasowujących przeczytane formuły do prac, o których piszą, odsyłam do wciąż aktualnej złotej myśli Lwa Tołstoja: „Mniej czytacie, mniej się uczcie, więcej myślćcie”.

## MYŚL – PRACA ZESPOŁOWA

Z pisarką DANUTĄ SZULCZYŃSKĄ-MIŁOSZ, autorką powieści „Podszepty”, rozmawia Agnieszka Moskaluk

**„Podszepty” to po trosze sensacja, kryminał i powieść z dreszczykiem. Bardzo udane jest to balansowanie pomiędzy gatunkami i wymykanie się prostym opisom. Według mnie najważniejsza jest tu jednak tajemnica. A w zasadzie tajemnice...**

Oczywiście, książka jest mariażem kilku gatunków. I masz rację, że najważniejsza jest tajemnica, magia, sekrety. Napisałam taką powieść, jaką sama chciałabym przeczytać – z wieloma niedopowiedzeniami. Gdzie ważne jest samo zastanawianie się nad tym, czy rozwiązywanie zagadki będzie czysto realne, czy włączyć się w to siły, których nie rozumiemy i nie dostrzegamy na co dzień. O to przecież chodzi, by – po pierwsze myśleć przy książce. Po drugie – by wywoływała emocje (niekoniecznie lęk i niepokój). Po trzecie – by, dzięki lekturze, przez chwilę zastanowić się nad rzeczami, o których do tej pory nie myśleliśmy.

**Twoja powieść ma podtytuł: „Wszyscy jesteśmy uwikłani w pętlę wiecznego powrotu”.**

Większość naszych decyzji ma swoje korzenie w przeszłości, czego często zupełnie nie jesteśmy świadomi. A nawet, jeśli jesteśmy świadomi, to uparcie do tego wracamy, zastanawiamy się, co moglibyśmy zrobić lub powiedzieć inaczej. Nasze życie zapętla się i zamiast iść naprzód, wiktamy się w przeszłość.

**A czasem to, co dzieje się tu i teraz, jest konsekwencją decyzji naszych przodków, które w jakiś nieuświadomiony sposób determinują nasze decyzje czy stany emocjonalne.**

Tak! I choć na to już zupełnie nie mamy wpływu, to docierając do tych – najczęściej rodzinnych – zagadek, możemy odkryć i odmienić wszystko... Samo poszukiwanie korzeni jest szalenie ciekawe. Prowadzi nas do poczucia tożsamości. Osadza nas w historii. Osadza nas w miejscu i trochę kreuje od nowa nas samych i sposób naszego myślenia.

**I każdy ma taką tajemnicę?**

Oczywiście! Nikt nie nosi całego siebie na wierzchu! Błędem jest mówienie i myślenie, że kogoś znamy w całości. Siebie nawet nie znamy, a co dopiero drugiego człowieka! Jesteśmy mozaiką doświadczeń, myśli, przeżyć, emocji. Mało tego, każda nasza myśl jest nie do końca nasza.

**W jakim sensie?**

Czytając książki, oglądając filmy, rozmawiając z innymi ludźmi, wzrastając z określonych środowiskach, czerpiemy z nich. Myśl – jako taka – staje się pracą

zespołową. Ona nas kształtuje, ale i my kształtujemy ją. Działa tu mechanizm sprzężenia zwrotnego.

**Jesteś autorką późnego debiutu. Dlaczego czekałaś z napisaniem „Podszeptów” tak długo?**

Sama zadaję sobie to pytanie i nie znajduję jednoznacznej odpowiedzi! Może po prostu wszystko w życiu ma swój czas? Może musiało nastąpić to sprzężenie, o którym mówiłam przed chwilą? Jest jeszcze jedna kwestia. Nie podpisuję się pod każdym zjawiskiem nadprzyrodzonym, ale wierzę w zrządzenia losu czy przeznaczenie. Liczę się z nimi. Bo tak, jak piszę w książce: być może istnieją na świecie prawa, które nie zostały jeszcze odkryte i nazwane, a są i mają na nas wpływ. Dodatkowo, w przypadku „Podszeptów”, impulsem do napisania był sen.

**Twój?**

Sen głównego bohatera, to mój sen, który śni mi się od lat. Długo zastanawiałam się, do czego ma mnie zaprowadzić. Dziś już wiem, że do podjęcia decyzji o napisaniu powieści. Czułam, że musiałam mu dać upust, bo inaczej się nie uwolnię...

**W powieści ważnym – choć niejedynym miejscem akcji jest Gorzów. Możemy rozpoznać rynek przy Jerzego, antykwariat, ul. Chrobrego...**

Gorzów jest i zawsze będzie dla mnie inspirujący. To miasto, w którym czuję się jak u siebie, choć od wielu lat już tu nie mieszkam. Akcją osadziłam tu, bo Gorzów jest mój. Najczęściej utożsamiamy się z miejscem, w którym rodzą się emocje, uczucia. A Gorzów wiąże się z mnóstwem emocji. Tu osadzają się moje korzenie. I to miasto na zawsze zostanie w mojej pamięci, jako miejsce szczególne i wyjątkowe. I dlatego w następnej książce jest Gorzowa więcej! A w kolejnej będzie go jeszcze więcej!

**Kolejna książka już jest napisana, prawda? Teraz trwają prace redakcyjne.**

Tak, tak! A Gorzowa będzie w niej więcej, bo główni bohaterowie mieszkają w tym mieście. Ale też chciałam upamiętnić kilka miejsc, których już nie ma, a były mi przez lata bardzo bliskie i wspominam je z sentymentem.

**Na przykład?**

Lamus, klub Pod Klonem, Filipinka...

**Dlaczego więc w książce Gorzów nie jest Gorzowem, tylko Gortowem?**

Bo to jest kolaż obrazów Gorzowa, który istnieje tylko w mojej wyobraźni i jest miastem zapamiętywanym na przestrzeni kilku lat. Gortów to nie jest ani współczesny Gorzów, ani historyczny. To jest mój Gorzów!

## W nowej powieści też będzie tak mrocznie i tajemniczo?

Tak, choć akcja jest poprowadzona trochę inaczej. Fabuła będzie toczyć się współcześnie i w czasie II wojny światowej. Będzie, oczywiście, zagadka. Tym razem będzie ona szła za protagonistą, a nie – jak do tej pory – przed nim. Czytelnik będzie miał „zabawę”, sprawdzając, jak bohaterowie odkrywają to, co on już wie. To mogę obiecać!

## Tytuł już masz?

„Eratosfera”, bo w książce sporo będzie też o poezji. Specjalnie do niej napisałam nawet kilka swoich utworów.

Dziękuję!

## PODSZEPTY (fragmenty)

Danuta Szulczyńska-Miłośz

### 1.

Tymczasem przyglądała się napisom i rysunkom w bramie. Aż do schodów prowadzących na wyższe piętra ściany pomazane były wszelkimi możliwymi kolorami. Trochę mniej ich było przed drzwiami na podwórze. Podeszła do nich. Na drzwiach był napis: „Antykwiariat. Wejście od strony ulicy Chrobrego”. I pod spodem: „Szukam pracownika”. Pomimo informacji o konieczności skorzystania z innego wejścia, Marianna chwyciła za klamkę. Było otwarte. Widocznie mieszkańcom kamienicy przeszkadzały wycieczki klientów. Albo odwrotnie – pomyślała, patrząc na obskurną bramę i podwórze – to klientom przeszkadzał ten widok. Szybkim krokiem ruszyła w stronę antykwiariatu. (S. 97)

### 2.

Szpital psychiatryczny znajdował się pół godziny drogi od Baranówka, z którego pochodził Wincenty. Duży budynek mieścił się w starym parku miejskim, niechętnie odwiedzanym przez mieszkańców. Nieliczne ławki były zdewastowane, a w lampach brakowało żarówek, co czyniło park miejscem nieprzystępnym i mrocznym. Wysokie murowane ogrodzenie, ściany z cegieł i wysokie okna nadawały wygląd bardziej więzienia niż szpitala. [...] Przez wysokie okna szpitala na ścieżkę kładło się nikłe światło i dopóki nie okrążyli budynku w poszukiwaniu wejścia, było to dla nich jedyne źródło oświetlenia. Przed samym wejściem był szlaban zagradzający wjazd samochodom oraz wąska furtka dla pieszych. Obok stała stróżówka przypominająca swymi rozmiarami kiosk Ruchu. (S. 415)

## 3.

Kiedy Marianna dotarła na bazar świętego Jerzego, nie wszystkie stoiska były czynne. Niektórzy handlarze dopiero rozkładali swoje kramy. Hałas otwieranych blaszanych budek płoszył gołębie, które podrywały się do lotu. Kwiaciarki nalewały wodę do wiader i wazonów i rozstawiały doniczki, plotkując między sobą na rozmaite tematy. Kilka dostawczych samochodów zaparkowało w pobliżu, zamykając wyjście z bazaru, co sprawiło wrażenie znajdowania się w hali pod gołym niebem.

Dziewczyna rozejrzała się dookoła, zupełnie nie wiedząc, jak ma znaleźć człowieka, który przed laty sprzedał Kozłowskiemu obraz jej ojca. Kramy ustawione były mniej więcej tematycznie, spróbowała więc znaleźć tę część, w której mogli znajdować się handlarze starzyzną. Najwięcej stoisk zajmowały stoiska owocowo-warzywne i budki z tanimi ciuchami. Na samym końcu była jeszcze jedna aleja, która zapowiadała się już znacznie ciekawiej.

Na rozstawionych stołach zauważyła lampy, stare maszyny, urządzenia kuchenne, zniszczone książki i zastawy stołowe imitujące porcelanę. (S. 432)

Fot. Kazimierz Ligocki



## ZROZUMIEĆ WRAŻLIWYCH I COŚ WIĘCEJ

### Roman Habdas

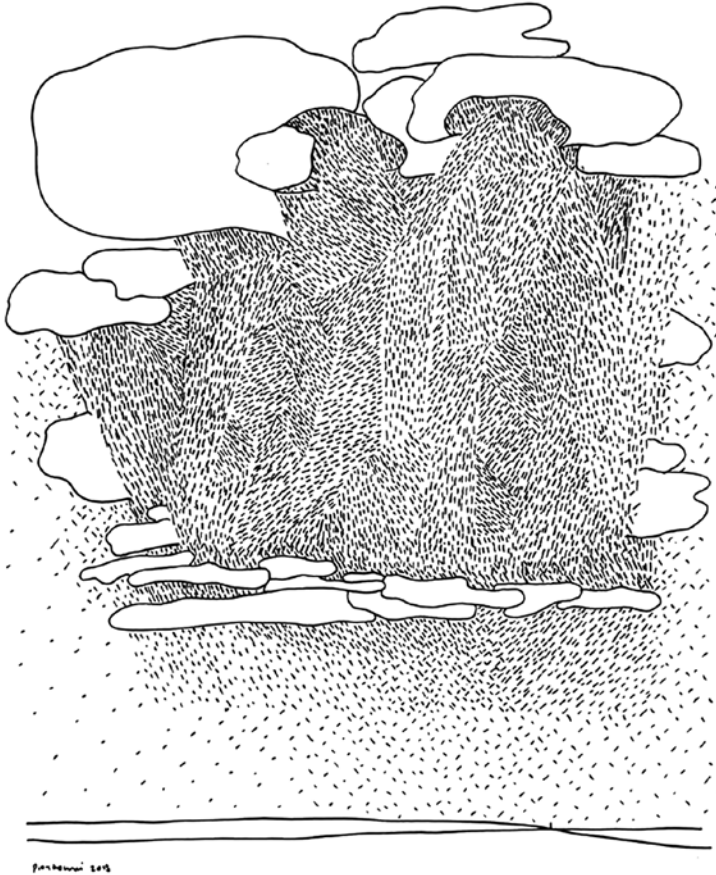
Drugi numer „Pegaza Lubuskiego” w nowym formacie jest faktem. Nie wszystkim odbiorcom ten pierwszy przypadek do gustu, co w opiniach zakotwiczonych na Facebooku wyczytałem. Sam, nie będę ukrywał, też podchodziłem do zmian wizerunkowych pisma niczym do przysłowiowego jeża. Kiedy jednak trafił do moich rąk, później przed oczy, a ostatecznie bez żadnego kombinowania ze składowaniem – jak to miało miejsce w przypadku poprzedniego formatu – na niedużą w Windsorze półkę, odstawiłem szpicrutę, przystając na dowolność lotu Pegaza w nowej odświeżonej graficznej.

Trzynastego maja w piątek zjechała się do Kłodawy wyjątkowa dzieciarnia. Ooo! Przepraszam, to nie dzieciarnia, to wyjątkowe dzieci oraz młodzież. Śmiało można ich nazwać wrażliwcami. Kiedy codzienność niesie wysyp atrakcji, oni z poetycką książką przed nosem wykuwali na blachę wiersz albo urywek prozy, by stanąć w szranki konkursu. I po co? Ano po to, by ukazać na scenie niebywałą sztukę, umiejętność celebrowania słowa pisanego. Najpierw w turach eliminacyjnych, a ostatecznie w finale Lubuskich Konfrontacji Artystycznych w kategorii recytacja. Nie żałuję, że dopiero po południu dojechałem do swojej leśnej dziupli nad zalewem, a poranek i południe spędziłem w obiekcie Gminnego Ośrodka Kultury nad Jeziorem Kłodawskim. Choć w duszy po tej uczcie pozostał mi pewien niedosyt, taki mały głódzik, spowodowany brakiem prezentacji poezji lubuskich poetów. Choćby jednego wiersza. Może warto w kolejnej, przyszłorocznej turze sięgnąć po twórczość z własnego podwórka? To taka moja, w Windsorze wydumana, inspiracja.

W piątek głódzik, a nazajutrz o północy, po sobotnim Konkursie Piosenki Eurowizyjnej, głód. Który to raz słyszałem z przekazów telewizyjno-radiowych, że nasz wykonawca i jego piosenka jest w czubie pretendentów? A kiedy półfinał, i jakże rzadko osiągnięty finał, to faworyt znad Wisły nie zdobywa topu, a zaledwie... płytynę. Na głębię owego konkursu wypłynęli natomiast sąsiedzi spod niebiesko-żółtej flagi. Mój syn, który po latach nieobecności zawitał z zielonej wyspy koniczynek na dłuższy urlop, spuentował to krótko: *Sytuacja polityczna ustawiła całość...*

Patrząc na telewizyjne raporty z przejść granicznych, upewniłem się w jednym, że reżyserzy filmów fabularnych nie zwracają uwagi na sceny, w których aktorzy niosą walizki tudzież toczą bagaże. W filmowych kadrach (proszę przy okazji na to zwrócić uwagę) walizy są zawsze tak lekkie i snadnie, bez wysiłku nieomal, niesione. A nasze wakacyjne, delegacyjne czy nawet owe pakowane w pośpiechu przez Ukraińców ciężkie, jak wszystkie grzechy odkładanego od lat rachunku

sumienia. Moje sumienie w poczuciu do goszczonych sąsiadów, głównie matek i dzieci, zrył idiotycznym muralo-napisem jakiś bezmózgowiec, plując farbą po murze obraźliwość kierowaną do, skądinąd, urokliwych ukraińskich kobiet. Zaprowadził mnie w miejsce takiego napisu, kiedy wracaliśmy z cmentarza po zapaleniu znicza na grobie Irka Szmidta w pierwszą rocznicę Jego śmierci, bardzo przyjazny ludziom gorzowski twórca. Co zrobić, wielu buduje, a jednostkowy dywersant burzy mosty porozumienia. Rzeki dobra, to wiemy, jednak płyną. A za Wartą, w muzealnym Spichlerzu, daleko od muralo-obrzydlivosti, jednoznaczna wymowa, niezmiennie surowo przez wrażliwego Gąsiora podana. Bo jej autor, dziecko wojny i niedostatku, rozumie coś znacznie więcej od bęcwała ze sprayem w ręce.



## LESZEK ŻULIŃSKI (25.08.1949-6.06.2022)



*... samotność.  
Tak porażająca  
i nagła,  
że dać ją poznać po sobie  
to jakby  
w ręce własnych dzieci  
włożyć odbezpieczony owoc  
granatu,  
wyszarpnąć zawleczkę ich snu.*

*Leszek Żuliński, Samotność, z tomu W wielkim akwariu ciemności (Piła 1988)*

Odszedł Leszek Żuliński: wybitny poeta, literat, felietonista, krytyk, juror, członek ZLP, autor wielu wstępów i postów do tomików – także gorzowskich autorów.

Odszedł KTOŚ pełen dobra, empatii, wiary w drugiego człowieka i jego dobre intencje. Jak sam mówił: wyznawał afirmatywny stosunek do twórców i ich dzieł. – Niech piszą, niech piszą, skoro to daje im szczęście. Po co krytykować, podcinać skrzydła? – powtarzał z tym swoich charakterystycznym, nieco zawadiackim uśmieszkiem.

Odszedł wspaniały kompan do poważnych rozmów, zabawy i literatury. Często bywał w Gorzowie. Na warsztatach organizowanych przez RSTK, na FurmanKach, Literackich Potyczkach, spotkaniach autorskich przyjaciół.

Odszedł, ale będzie – w uśmiechu, anegdocie, wspomnieniu, w napisanych słowach, wydanych tonikach, w wypalonych wspólnie papierosach i krokach odcisniętych w gorzowskim bruku...

**Agnieszka Moskaluk**

Znaliśmy się z Leszkiem od wielu lat. Zapraszałem go bardzo często do Gorzowa na warsztaty i inne spotkania Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Byłem pewien, że jako instruktor chętnie podzieli się swoją wiedzą i doświadczeniem; że jego uwagi – skierowane do początkujących twórców – będą rzetelne, krytyczne, ale nie podetną nikomu skrzydeł.

Leszek był ciepły, serdeczny, życzliwy ludziom. Rozumiał i doceniał to, co tu w Gorzowie robiliśmy. Uważał, że nasze działania interdyscyplinarne są ewenementem

na skalę kraju. Że nigdzie w taki sposób nie łączy się różnych sztuk, ich gatunków i form: poezji, muzyki, plastyki, ruchu... Był zawsze zachwycony naszymi wieczorami synkretycznymi. Chętnie włączał się we wszystkie nasze akcje i działania, także w organizowany w kościołach cykl Bogu i Ojczyźnie.

Będzie nam go bardzo brakowało...

*Czesław Ganda, prezes RSTK i UTW*

Napisać coś o Leszku Żulińskim nie jest łatwo... Ten wyjątkowy człowiek – instytucja literacka – był wielopłaszczyznowy, wielowymiarowy, wieloświatowy. Nasze początki znajomości nie zaliczają się do najlepszych. Wiedziałam już trochę o pewnych trudnych sprawach w życiu Leszka i nie omieszkłam go o to zapytać. Bezcelnie, a nawet brutalnie. Jego odpowiedź wyrobiła mi o Nim najlepsze zdanie. Niczego nie ukrywał, kajał się. Mówił zgodnie z prawdą, że nigdy swoją współpracą nikomu nie zaszkodził. Uwierzyłam mu. Ta publiczna opowieść o swoich potknięciach pokazała mi, że mam przed sobą wartościowego człowieka, który wziął na przystawienie klatę własne błędy i odbudował nowego siebie. A ten nowy Leszek był zabawny, sarkastyczny, gdy trzeba, pełen autoironii, ale i wielce znający świat. Oprowadzał mnie po Warszawie i to właśnie On pokazał mi, gdzie zginął Krzysztof Kamil Baczyński. Wiedliśmy dysputy dniami, tygodniami, miesiącami. Znał wszystkich, czytał każdego. Był wielkim myślicielem i pewnie nigdy drugiego takiego już nie będzie... Doceniał nas literatów, uwielbiał nasze wiersze, szukał z nami kontaktu, bo życie jest piękne, niestety – mawiał puszczając oko do wszystkich pań.

*Beata Patrycja Klary-Stachowiak, poetka*

Powiedzieć: poznałem Leszka Żulińskiego, to wymagałoby przystawionej, wspólnie zjedzonej beczki soli, a i to, jak sądzę, niczego nie gwarantuje. Niemniej z Leszkiem było co nieco wspólnych szczypt. Nawet teraz, gdy przymykam oczy, widzę pochylonego ku czytającym mędrca, który w różnorodnej prezentowanej mu poetyce, u każdego umiał znaleźć coś, co mógł pochwalić albo ze znajomością materii wiersza, a nawet bardziej jego autora, zasugerować dalszą nad nim pracę. Najlepsze były dla mnie wieczory. Leszek opowiadacz. Szeroko rozumiany literacki świat schodził wówczas z cokołów i dla mnie, stawiającego pierwsze literackie kroki w przyjaznej Tucholi, odstąpił swoje zwykłe radości, smutki, poczucie humoru, a czasem drobne złośliwości. „Życie jest piękne, niestety” – mawiał, patrząc na nas. Myślę, że miał wówczas świadomość ulotności tej akurat dobrej z nami, tego jej bolesnego nadawania życiu piękna. Myślę, że umieć je rozpoznawać, to być spełnionym. Leszek taki był.

*Marek Stachowiak, poeta*

## PEJZAŻE OCZYWISTE

**Grzegorz L. Piotrowski**

Najważniejsze cykle malarskie: *Taki czas*, *Spojrzeć na siebie*

### ***Taki czas***

To, co widzę, wychodząc z pracowni: bezkres nieba i horyzont lenieckich wzgórz. Wielki kadr świata mojej codzienności. Pochłania mnie całego. Czuję się jego częścią. Zdawać by się mogło, że to nudny motyw. Dla mnie jest pasjonującym widowiskiem trwającym całą dobę. Czasem w ciągu ledwie paru chwil zmienia się cały obraz. Ogromną rolę odgrywa tu światło. Ono wpływa na kształty i ich kolory. Wzrok błądzi raz dalej, raz bliżej. Nie zawsze skupia się na jednym punkcie. Obejmuje całość lub tylko wybrany fragment, koncentrując się na liściu, kropki, kamyku. To Taki Czas. Tu i teraz.

Czas odczuwania i przeżywania natury.

Taki czas to mój czas.

### ***Spojrzeć na siebie***

Obrazy ukazują mój sposób widzenia i interpretacji świata, bytu i przestrzeni.

Zawsze interesowała mnie różnorodność spojrzeń. Wypowiadam się w zależności od punktu, w jakim się znajduję. Czasami jest on dramatyczny, innym razem subtelny, wręcz liryczny.

Różnorodność spojrzeń ma swoje odzwierciedlenie także w różnorodności technik. Rysunek, malarstwo, grafika to mój język.

Lubię wskazywać delikatną cienką granicę relacji.

Przypominam, że tak łatwo Kogoś zgubić, pominąć, sprawić, by był niewidoczny. Podkreślam, że w obliczu słabości, choroby, śmierci, uświadamiamy sobie o swojej nieśmiertelności.

A stając na krawędzi dnia, czujemy niepokój, ostrzeżenie przed końcem, a może zapowiedź odpoczynku i złapania oddechu przed tym, co nowe.

Interesuje mnie moment przecięcia. Skrzyżowania dróg. Zetknięcia czasów.

Fascynuje mnie ogrom przyrody. Żywiot, w obliczu którego człowiek jest bezbronny.



## WYDARZYŁO SIĘ

### Magda Turska

#### WYDARZENIA LITERACKIE

##### PEGAZ LUBUSKI

31 marca to cezura ważna dla wydawanego nieprzerwanie od 2003 roku „Pegaza...”. Media, sala pełna czytelników i nastąpiło nowe. Czasopismo zmieniło redakcję, szatę graficzną i objętość. Powstała innowacyjna jakość, a wiadomo, jak jest z nowym – budzi kontrowersje: jedni zachwyceni, inni mniej. Redaktorka naczelna Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk i zastępczyni redaktor naczelnej Beata Igielska poprowadziły wieczór, przybliżając planowane założenia – każdy numer będzie miał motyw wiodący. 1 (88) „Pegaz Lubuski” liczył 48 stron i dotyczył tożsamości. Dyrektor Sławomir Szenwald obiecał dodatkowe karty i obecne, drugie w tym roku, wydanie ma już stron 70.

#### TYDZIEŃ BIBLIOTEK

##### Co działo się w gmachu głównym?

„Biblioteka – świat w jednym miejscu” to tegoroczne hasło majowego święta bibliotek. Rozpoczęto się z przytupem – 9 maja gościła w Książnicy Anna Kamińska, uznana biografka, autorka m.in. „Wandy. Opowieści o sile życia i śmierci. Historii Wandy Rutkiewicz”. Co więcej, 2022 rok jest rokiem słynnej himalaistki, tym bardziej warto było posłuchać opowieści o sile, determinacji, pasji, dla której poświęca się wszystko, nawet życie. Pisarka przybliżyła również pozostałe swoje dzieła, skupiając się szczególnie na bestsellerowej „Simonie. Opowieści o niezwykłym życiu Simony Kossak”, a także „Halinie. Dziś już nie ma takich kobiet. Opowieści o himalaistce Halinie Krüger-Syrokomskiej”. Ostatnio wydana książka „Kotański. Bóg, Ojciec. Konfrontacja” to dla odmiany historia mężczyzny, lecz i tym razem biografia pióra Anny Kamińskiej szybko zyskała status bestsellera.

W cywilizacyjne i chronologiczne przestrzenie biblioteczne wysłała 10 maja słuchaczy dr hab. Agnieszka Borysowska, sekretarz naukowa Książnicy Pomorskiej, która przyjechała do Gorzowa z wykładem „Biblia Wulgata – pergaminowy kodeks rękopiśmienny z kościoła Mariackiego w Stargardzie”. Prezentacja okraszona zdjęciami przeniosła zebranych w świat historii książki, a następnie w dzieje arcydzieła sztuki średniowiecznej, tj. wspomnianego zabytkowego kodeksu.

Dwa dni później Dyskusyjny Klub Książki przy Oddziale Dziecięcym gościł Mirosława Wlekłego. Tym razem reportażyście zaprezentował się jako autor książek dla dzieci. Laureat Nagrody Magellana i Nagrody im. Beaty Pawlak 2019 promował wydawnictwo o Tonym Haliku, które poprzez charyzmatyczność tytułowego bohatera bez problemu docierają do młodszego pokolenia. Zaproszeni uczniowie otrzymali od pisarza pocztówkę, a wraz z nią reporterski autograf. Tego samego dnia M. Wlekły spotkał się także z dorosłą publicznością. W rozmowie z Agnieszką Moskaluk skupił się przede wszystkim na książce „Garreth Jones. Człowiek, który wiedział za dużo”.

„Kresy. Ars moriendi” – już sam tytuł publikacji Anny Smółki i Agnieszki Rybak zapowiada jego zawartość. Jak mówiły autorki, to książka o zanikaniu Rzeczypospolitej w dawnych województwach wschodnich oraz starciu Polski i Rosji na tych terenach. Z promocją nietuzinkowych reportaży pisarki przyjechały do Gorzowa Wielkopolskiego w piątek, 13 maja o godz. 16.30. Urodzone gawędziarki okraśliły opowieść o Mińsku, Lenkowszczyźnie i Lwowie prezentacją, która przeniosła zebranych w kresowy klimat. Przedstawiły trzy opowieści z ośmiu zawartych w zbiorze. Reportażystki wspólnie stworzyły wartościowy utwór, przenikliwie analizujący trudne dzieje wschodnich rubieży, jednocześnie dzięki talentowi oratorskiemu pasjonująco przybliżyły czytelnikom zebranych w Książnicy ten niełatwy wątek w losach Polski.

O 18.00 rozpoczęło się spotkanie autorskie z Bogdanem Rymanowskim, gwiazdą telewizyjną, ale jednocześnie także pisarzem (m.in. „Zamach na prawdę” czy „Gracje”). Okazało się, że ulubionym poetą gościa

Biblioteki jest nomen omen Zbigniew Herbert, z którym Rymanowskiemu udało się przeprowadzić wywiad. Na pytanie publiczności „Jak zostać dziennikarzem?” redaktor odpowiedział „Czytać, czytać i jeszcze raz czytać!”, co w Tygodniu Bibliotek nabiera znamiennego kontekstu, bowiem czytanie daje niezbędną wiedzę nie tylko w zawodzie dziennikarza, ale i humanistycznym obyciu. Ważna jest także ciekawość świata, co – obok zdarzeń w rzeczywistości – dają książki. „Nie zdobędziemy wiedzy poprzez przeglądanie portali... Jesteśmy tym, czym się karmimy, co oglądamy, czytamy i tacy jesteśmy wobec innych” – skwitował gość wieczoru.

## PROMOCJE KSIĄŻEK

### WOKÓŁ ZBRODNI

Tworząca kanał „Kartoteka” na portalu YouTube Mariola Kłodawska gościła w Bibliotece 8 kwietnia. W 2021 roku debiutowała książką „Wokół zbrodni”. Zafascynowana twórczością Agathy Christie autorka opowiadała o drodze od wideoblogów do formy papierowej. Utwór to autentyczne sprawy kryminalne, zebrane na podstawie materiałów źródłowych ze Stanów Zjednoczonych.

### PODSZEPTY

18 maja w Sali im. Dzdzistawa Morawskiego czytelników powitała Danuta Szulczyńska-Miłosz, promująca thriller „Podszepty”. Autorka zdradziła tajemnice swojego warsztatu, omówiła główne wątki książki oraz postacie, które wykreowała. Skupiła się również na miejscu i czasie akcji. Jak zaznaczyła, „Podszepty” nie są jednolite gatunkowo, a sen, na kanwie którego powstało dzieło, to powtarzający się koszmarskiej samej pisarki.

### MESJASZ I TOMEK NA ALASCIE

Na zaproszenie Biblioteki odpowiedział dr Maciej J. Dudziak, który spotkał się z czytelnikami 19 maja. Antropolog kultury, ceniony eseista, wykładowca akademicki, postawił wysoką poprzeczkę zebranym, a partnerką do rozmowy była Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Autor „Mesjasza” i „Tomka na Alasce” (napisanego na podstawie notatek pozostawionych przez Alfreda Szklarskiego) zdradził tajemnice warsztatu, powody, dla których zajął się przygodami Tomka Wilmowskiego, oraz motywy, które podjęł w „Mesjaszu”. Ten ostatni tytuł ma duże znaczenie dla Macieja J. Dudziaka, ponieważ opiera się na wątkach związanych z Drohobyczem i Brunonem Schulzem. Okazało się, że z kresowego miasta wywodzi się część rodziny gościa wieczoru, który dopowiedział, że jego stryjowie byli wychowankami autora „Sklepów cynamonowych”.

### DODAWAŁ NAM SKRZYDEŁ. IRENEUSZ KRZYSZTOF SZMIDT WE WSPOMNIENIACH

23 maja w pierwszą rocznicę śmierci Ireneusza K. Szmidta żona zmarłego, działaczka kultury, Krystyna Kamińska zorganizowała wieczór z twórczością uznanego w środowisku artystycznym miasta barda. Aktorzy Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Joanna Rossa i Przemysław Kapsa wykonali suitę poetycką „Ja, dąb”. Krystyna Kamińska promowała również książkę pt. „Dodawał nam skrzydeł. Ireneusz Krzysztof Szmidt we wspomnieniach”. Spotkanie uświetniła wystawa „Świat Ireneusza Krzysztofa Szmidta”. Odznaczenia, pamiątki, książki, utwory rozproszone, karykatury, zdjęcia, a nawet legitymacje i dowód osobisty wzbudziły żywe zaciekawienie. Kolejne cenne wydarzenie jak pokarm dla duszy podkreśliło, jak ważną postacią na mapie Gorzowa był prezes lokalnego Związku Literatów Polskich. Ireneusz K. Szmidt inspirował, kreował rzeczywistość literacką i wraz z Krystyną Kamińską „wychowali” pokolenia literatów gorzowskich.

### DYSKUSYJNE KLUBY KSIĄŻEK

Trzy miesiące to wypełniony po brzegi czas z klubowiczami, którzy godzinami mogliby rozprawiać o książkach. W gmachu głównym, jak i agendach Biblioteki spotykają się dorośli, dzieci i młodzież, by poświęcić czas na literackie dyskusje. Omawia się zarówno bestsellery, jak i mniej nośne tytuły. O czym tym razem toczyły się rozmowy przy kawie i ciastku? To m.in.: „Z kim tak ci będzie źle jak ze mną? Historia Kaliny Jędrusik i Stanisława Dygata” Remigiusza Grzeli, „Powrót z Bambuko” Katarzyny Nosowskiej, „Niewidzialne

życie Addie LaRue” Victorii Schwab, „Broniewski: miłość, wódka, polityka” Mariusza Urbanka, „Czarny Bałtyk” Macieja Paterczyka, „Lśnić” Jessiki Jung, „Potargana w miłości: o Agnieszce Osieckiej” Uli Ryciak, „Zapach szafranu” Marjan Kamali, „Księga dwóch dróg” Jodi Picoult, „Bezmatek” Miry Marcinów, „Dlaczego rodzice tak cię wkurzają i co z tym zrobić?” D. Burnetta, „Zasady magii” Alice Hoffman, „Dziewczyny w przestworzach” Noelle Salazar, „Awaria uczuć” Joanny Kruszewskiej, „Włoski nauczyciel” Toma Rachmana, „Rana” Wojciecha Chmielarza, „W coś trzeba nie wierzyć” Violetty Ozminkowski, „Jestem nieletnią żoną” Laili Shukri, „Okrucy” Magdaleny Meldo, „Mate licha i tajemnice Niebożątki” Marty Kiesel, „Teściowie muszą zniknąć” Alka Rogozińskiego, „Ostatnia debiutantka” Lesley Lokko, „Rzeczy, które spadają z nieba” Selji Ahawy, „Słońce też jest gwiazdą” N. Yoon, „Wskazówki” Bartosza Szczygielskiego, „10 kotów” Katarzyny Samosiej”, „Trzeba być cicho” Agnieszki Jelonek.

### WIECZÓR Z ANDRZEJEM GRABOWSKIM

Dzięki projektowi DKK 9 marca do Książnicy zawitał aktor teatralny i filmowy Andrzej Grabowski, któremu Paweł Łęczuk i Jakub Jabtonka poświęcili biografię „Andrzej Grabowski. Jestem jak motyl”. Spotkanie moderował Marcin Michrowski, który umiejętnie podpytał gwiazdę wieczoru o dzieciństwo, czasy studenckie, odegrane role w filmach i sztukach teatralnych. Aktor przedstawił również arkana pracy w roli jurora w ogólnie znanym teleturnieju. Mówił o pisaniu i śpiewaniu piosenek, a nawet występach w stand-upie. Okazało się, że Grabowski jest nieprzeciętnym gawędziarzem, dzięki czemu zaczarował publiczność, która zadawała szczegółowe pytania o aktorskie życie, a przede wszystkim rolę w serialu telewizyjnym „Świat według Kiepskich”, gdzie wcielił się w tytułowego Ferdynanda Kiepskiego.



Fot. Mariola Merxmüller-Jakubik

### Z HISTORII REGIONU

#### ŻYDZI NA ZIEMI MIĘDZYRZECKIEJ

22 marca w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” Andrzej Kirmiel, dyrektor Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego, wygłosił wykład „Żydzi na Ziemi Międzyrzeckiej”. Spotkanie było połączone z promocją książki prelegenta pt. „Żydzi w Międzyrzeczu”. Gość Biblioteki rozpoczął miłym akcentem, mówiąc, że gorzowska Książnica jest najprzyjemniejszym miejscem w województwie lubuskim, do którego chętnie przyjeżdża i zawsze odpowie na kolejne zaproszenia.

## W OKOWACH NIEWOLI. OFLAG II C WOLDENBERG 1940-1945

26 kwietnia dr Przemysław Stowiński, pracownik Akademii im. Jakuba z Paradyża, wygłosił wykład „W okowach niewoli. Oflag II c Woldenberg 1940-1945”. Dzieło profesora pt. „W okowach niewoli. Polscy oficerowie w Oflagu II C Woldenberg podczas II wojny światowej” zdobyło Lubuski Wawrzyn Naukowy 2021. Prelekcja dr. Stowińskiego wpisana się w cykl „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”.

## LUBUSKIE ROZMOWY U HERBERTA

28 odcinek „Lubuskich Rozmów u Herberta” poprowadził dyrektor Biblioteki Sławomir Szenwald. O organizacjach pozarządowych rozmawiali profesor Beata Orłowska, koordynatorka Regionalnego Ośrodka Debaty Międzynarodowej w Gorzowie Wielkopolskim oraz profesor Paweł Leszczyński, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego Oddział w Gorzowie Wielkopolskim. Pretekstem do rozwinięcia wątku był casus „Gazety Grudziądzkiej” o nakładzie na światową skalę dzięki prenumeratorom, którzy oddolnie wspomagali pismo, by mogło docierać do jak największej liczby odbiorców.

## WYSTAWY

Parter holu Biblioteki od 1 marca do 31 marca wypełniały stare utensylia ze zbiorów Tomasza i Zdzisława Maciejewskich. Obok wiekowych narzędzi można było obejrzeć motocykle czy motorynki. Niecodzienna wystawa przyciągnęła sporo zwiedzających, którzy chętnie robili zdjęcia obiektów, a także siebie na ich tle.

6 kwietnia również na parterze otwarto wystawę „Kulerski. Patriotyzm zaklęty w czcionkach”. Kuratorem przedsięwzięcia był dr Mariusz Balcerk, który podczas wernisażu wygłosił wykład na temat działalności Wiktora Kulerskiego (1865-1935), nauczyciela, dziennikarza, wydawcy i polityka, którego dziełem życia była „Gazeta Grudziądzka”.

Miesiąc później Galeria „Pod Kopułą” powitała Barbarę Zabłocką i Cezarego Janiszewskiego, uznanych artystów z Ostrowa Wielkopolskiego, prowadzących Galerię Sztuki Współczesnej. Malarska i fotograficzna wycieczka po meandrach sztuki zachwyci niejednego. Kurator wystawy – Zbigniew Olchowik – podkreślił znaczenie i bogaty przekaz prezentowanych dzieł, które zwiedzający mogą podziwiać do końca lipca tego roku.

## VARIA

Aktorzy Piotr Cyrwus i Maja Barelkowska w towarzystwie kompozytora Piotra Kajetana Matczuka, który skomponował i wykonał muzykę do lirycznego wieczoru, przygotowali spektakl poetycki, którym uczestnicy delektowali się 3 marca w Bibliotece. Artyści recytowali wybraną twórczość Cypriana Kamila Norwida (m.in. „Promethidion” i „Zagadkę”).

Warsztaty kaligraficzne to kolejna propozycja Książnicy. Zajęcia od 21 do 23 kwietnia, podczas których uczestniczący stawiali pierwsze kroki w kaligrafii, używając stałówek, obsadki i atramentu, poprowadziła Olga Paszkowska. Powstałe prace wyeksponowano w Wilii Lehmana w towarzystwie XVIII-wiecznych starodruków ze „Sztuki pisania w trzech rozdziałach” oraz studium języków obcych i lingwistyki „Orientalisch und Occidentalischer Sprachmeister” Johanna Friedricha Fritza. Ze względu na duże zainteresowanie Biblioteka planuje wprowadzić cykl warsztatów z ozdobnej pisowni.

Biblioteczne aktualności są dostępne na stronie [www.wimbp.gorzow.pl](http://www.wimbp.gorzow.pl) w zakładce Kronika oraz na portalach społecznościowych Facebook i YouTube. Zapraszam do sięgania online po bieżące informacje z pulsującej wydarzeniami Książnicy.



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Zbigniewa Herberta  
w Gorzowie Wielkopolskim



**OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI  
IM. JANA GROSSA  
Edycja II - 2022 r.**

**Termin składania prac - do 31 sierpnia 2022 r.**

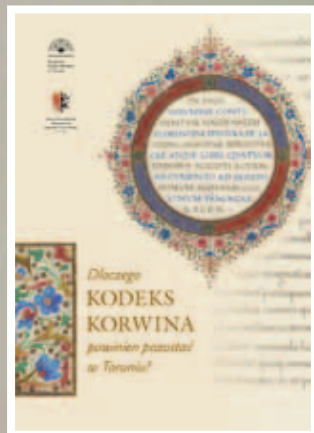
Regulamin Konkursu na stronie [www.wimbp.gorzow.pl](http://www.wimbp.gorzow.pl)

# ZAPRASZAMY DO HERBERTA

**5 lipca 2022 r. o godz. 16.00**

Otwarcie wystawy „Dlaczego Kodeks Korwina powinien pozostać w Toruniu?” i wykład Anny Wronki – kierownika Działu Zbiorów Specjalnych Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu.

Biblioteka Herberta, ul. Sikorskiego 107



**8 września 2022 r. o godz. 17.00**

Spotkanie z Alferdem Siateckim, laureatem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2021

Biblioteka Herberta, ul. Sikorskiego 107, sala 8

